

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcja i Administracja otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

SPRAWY ŚLĄSKIE.

W ostatnich czasach dzienniki niemieckie pisały kilkakrotnie o nowych środkach polityki rządowej, wymierzonych przeciw Polakom. Jak zapewnia *Germania* w ministerjum stanu odbyło się posiedzenie, na którym obradowano o zmianie ustawy o stowarzyszeniach w związku ze sprawą polską. Tymczasowo projekt odroczone i przesłano ministerjum spraw wewnętrznych do uzupełnienia. Pisma hakatystowskie twierdzą, że używanie języka polskiego będzie zabronionem. Inne znowu dzienniki utrzymują, że policya otrzyma dyskrecjonalną władzę pozwalania na obrady polskie.

Tymczasem wroga Polakom prasa przygotowuje grunt i pragnie wywołać rozprawy w parlamencie i sejmie pruskim. *National-Liber. Correspondenz* powiada: »Naród pruski spodziewa się, że jego reprezentanci narodowi niemiłosiernie Polaków wezmą w obroty. To podziała błogo na wschód monarchii tak samo w interesie Polaków, jak i w interesie Niemców, tam zamieszkałych«.

Rząd uprzedza zresztą żądania »reprezentantów narodu pruskiego« i bez nowych ustaw zaczyna stosować środki wyjątkowe przeciw Polakom. Tym razem główny atak skierowano przeciw naszemu lewemu skrzydłu, przeciw Śląskowi. Cały szereg wydanych niedawno postanowień i zarządzeń dowodzi, że na Śląsku, podobnie jak w Prusiech Zachodnich, rząd pruski posiada dostateczny zasób środków policyjnych do gnębienia polskości i nie potrzebuje nowych ustaw, bo stare może dowolnie naginać.

Oto znamienne fakty, w ciągu kilku ostatnich tygodni zaznaczone w polskich pismach śląskich. W Bytomiu urządził miejscowy Sokół wieczorek w rocznicę zgonu Mickiewicza. Urzędnik policyi zabrał kierownikowi chóru nuty i tekst pieśni »Bracia rocznica«, i rozkazał obecnym kobietom wyjść z sali. Następnie tenże urzędnik oświadczył, że nie pozwoli nikomu przemawiać po polsku, wskutek czego zebranie musiało się rozejść.

Podobny wypadek pogwałcenia wolności zebrania zdarzył się w Wieszowie, w powiecie tarnogórskim. »Amtowy« (naczelnik gminy) oświadczył z góry, że rozwiąże zebranie, jeżeli obrady na posiedzeniu związku wzajemnej pomocy robotników chrześcijańskich będą się toczyły po polsku. Redaktor *Katolika* umyślnie pojechał na zebranie, żeby być świadkiem postępowania policyi i tak przebieg zajścia opisuje.

»Żandarm obecny wykazał się przed zebraniem, że ma piśmienny rozkaz amtowego, aby zebranie rozwiązać, gdy obrady zaczną się toczyć po polsku.

Natenczas zwrócono mu uwagę na to, że podług wyroku sądu najwyższego z dnia 26 września 1876 prawa do tego nie ma. A dalej powiadomiono go, że w razie rozwiązania rząd związku w drodze cywilnej

będzie żądał od amtowego zapłacenia kosztów, na jakie zakaz związek naraził.

Wszystko to jednak nie skutkowało.

Gdy członek zarządu związku, obstając przy swoim prawie obywatelskim, otworzył zebranie po polsku, żandarm w imieniu prawa, powołując się na paragraf 6 ustawy związkowej i na rozkaz amtowego, zebranie rozwiązał«.

Przy tej sposobności wykryło się, że już w maju landrat powiatu tarnogórskiego wydał rozporządzenie, głoszące, że osobom, mieszkającym po za gminą, w której zebranie się odbywa, nie wolno mieć »właściwych wykładów« (*wirkliche Vortraege*). Rzecz jasna, że to rozporządzenie bynajmniej nie jest prawnie uzasadnionem, a nawet sprzeciwia się prawu. Ale sprzeciwia się również prawu zakaz przemawiania na zebraniach publicznych po polsku, bo wyżej przytoczony wyrok sądu stanowczo zaznacza, że prawo nie wymaga wcale używania języka niemieckiego. A dwa wypadki, o których teraz mówimy, nie są wyjątkowymi, poprzednio już bowiem pisma śląskie zaznaczyły podobne nadużycia, które obecnie stały się zasadą postępowania władz administracyjnych.

Prezydent dyrekcyi kolejowej w Katowicach wydał rozporządzenie, nakazujące urzędnikom i robotnikom używać, w rozmowie pomiędzy sobą, jedynie języka niemieckiego. Na mocy tego rozporządzenia wydano już kilku ofycjalistów i robotników Polaków. Ten »środek drakoński«, jak wyraża się *Breslauer Morg. Zeit.*, ma być zastosowany nie tylko na kolejach śląskich, ale i w Poznańskim. Nie mając pod ręką tekstu oryginalnego, podajemy to rozporządzenie w przekładzie jednego z pism miejscowych:

»Mamy powód zwrócić uwagę na to, że językiem urzędowym w zakresie służby jest wyłącznie język niemiecki. Wszyscy urzędnicy, jako też ci, którzy zajmują pomocnicze urzędy, mają się porozumiewać w służbie z przełożonymi i podwładnymi, jako też pomiędzy sobą jedynie niemiecką mową. Wystarczająca znajomość języka niemieckiego w słowie i piśmie jest nieodzownym warunkiem, którego każdy urzędnik przy wykonywaniu swoich obowiązków w służbie przestrzegać powinien; dlatego też należy wymagać znajomości języka niemieckiego od każdego robotnika w służbie kolejowej pozostałego. Zarządy inspekcyjne są za to odpowiedzialne, ażeby do służby pomocniczej tylko tacy robotnicy byli wyznaczani, którzy po niemiecku mówią i piszą. Osoby, któreby tym wymaganiom nie mogły zadość uczynić, należy wydalic. Przy przyjmowaniu robotników każdego rodzaju należy tym kandydatom dać pierwszeństwo, którzy niemiecki język w słowie i piśmie znają. Rozporządzenie to należy oznajmić wszystkim urzędnikom i sługom pomocniczym, którzy o zakomunikowaniu im niniejszego rozporządzenia mają zaświadczyć

podpisaniem swego nazwiska. Ufamy, że naczelnicy poszczególnych miejsc służbowych jak najusilniej będą się starali o dokładne przeprowadzenie powyższego rozporządzenia i że stanowczo wystąpią przeciwko jakiemukolwiek niezastosowaniu się do tego rozkazu.

Pisma niemieckie, nawet katolickie, potępiają rozporządzenie dyrekcyi kolejowej głównie z tego względu, że wytworzy ono setki niezadowolonych, z czego skorzysta »agitacja wielkopolska«. Niewątpliwie takie rozporządzenia władz budzą w ludności śląskiej poczucie narოდowe i z tego względu są dla nas raczej pożyteczne, niż szkodliwe. Ale pozbawienie setek ludzi kawałka chleba nie przestaje być z tej racji dowodem barbarzyństwa i bezprawiem, bo nie ma właściwie żadnej podstawy legalnej.

Przed paru miesiącami wyższa władza szkolna w Opolu nakazała znieść nauczanie religii w języku polskim w szkołach w Królewskiej Hucie oraz w Górnym, Nowym i Dolnym Hajduku. Obecnie w jednej tylko szkole w obrębie inspekcji opolskiej, mianowicie w Górnych Łagiewnikach uczą się dzieci w pierwszym roku religii po polsku. O usunięcie ze szkół języka polskiego starało się »towarzystwo obywatelskie« w Królewskiej Hucie i uroczyście obchodziło odniesione zwycięstwo, które zdaniem, *Preuss. Lehrer Zeitung*, oznacza stanowcze odparcie dążeń polonizacyjnych.

Nie będziemy powtarzali znanych już czytelnikom faktów prześladowania towarzystw polskich, zakazu mówienia po polsku w sądach i urzędach i t. d. Prześladowania policyjne doszły do tego stopnia, że Polakom, wyprawiającym wesela w gospodach lub hotelach, nakazano przedstawiać władzy listę gości. Z kopalni rządowych wydano górników, którzy należeli do towarzystw przemysłowych polskich, jednego zaś p. Kaszę za to, że przed rokiem brał udział w wycieczce Ślązaków na wystawę poznańską. Nawet ogólny zawsze i dosyć obojętny dla sprawy polskiej na Śląsku *Czas* pisze:

»Otwiera się zatem epoka prześladowania nie inteligencji polskiej, ale polskiego ludu, która bytu naszej narodowości nie podkopie, ale przyczyni się do wzmocnienia solidarności wszystkich warstw narodu. W każdym razie rzecz ciekawa, jakie stanowisko zajmie centrum, reprezentujące Śląsk górny w sejmie pruskim, wobec wybryku germanizatorskiego katowickiej dyrekcyi, którego legalność jest nader wątpliwa?»

Na to ostatnie pytanie można odpowiedzieć, że, jak zawsze, centrum zajmie niby to stanowisko pośrednie: potępi działalność rządu, szkodzącą, zdaniem jego, »germanizacji rozważnej i powolnej«, jednocześnie zaś zwali część winy na »agitację wielkopolską«. *Schles. Volkszeitung*, której bezstronnością niedawno zachwycił się *Dziennik poznański*, dowodzi, że rozporządzenie dyrekcyi kolejowej jest »owocem podburzania z dwóch stron«, t. j. przez hakatystów i agitatorów polskich. Na to obłudne przekręcanie istotnego stann rzeczy dobrze odpowiada *Katolik*.

»My, którzy mieszkamy w Prusach, powinniśmy już raz na zawsze wiedzieć, że wszelkiemu utrapieniu polskiej ludności jest głównie winien system rządowy, a nie żadna osoba, ani gazeta. To jest winowajca jedyny, który całą winę ponosi i nigdy niczem z niej się nie wymyje.

»Jest na to jeden dowód niezbity z przeszłości. Kiedy po roku 1872 usunięto polską naukę ze szkoły, nie było agitatorów, ani mocnych gazet, ani ruchu ludowego, ani walki. A jednak rząd wyrzucił język polski

ze szkół! Kto był winowajcą? Jedyne system rządowy, który zawsze robi to, co za dobre dla siebie uznaje. Nie trzeba być tak mało politycznym człowiekiem, ażeby myśleć, że gdyby agitacyi ani gazet polskich nie było, rząd by dał spokój ludowi polskiemu na Śląsku. System rządowy pójdzie swoją drogą, choćby wszystkie gazety polskie przestały wychodzić, bo zniemczenie Śląska, a następnie sprostestantyzowanie, jest celem tego systemu. O tem pamiętajmy!»

Nowy korespondent poznański *Kraju* zaznacza słusznie, że w prześladowaniu ludności polskiej gra pewną rolę polityka osobista Wilhelma II. »Dziś już powiedzieć można, że nie konstytucya, nie ministerstwa, nie parlament i sejm rządzi w sprawach polskich, tylko polityka gabinetowa za pomocą reskryptów gabinetowych. Polityka ta zmienia dowolnie, nawet wbrew wyrokowi sądowemu, nazwy miejscowości i nazwiska osób. Naśladując najwyższą instancję, władze niższe wydają znów swe udzielne rozporządzenia antypolskie«.

Rzeczywiście, jak wykazała głośny proces berliński, o którym w innym miejscu piszemy, ważnym czynnikiem w polityce rządu pruskiego są wpływy i intrygi osobiste. Ale śmiesznymi wydają się nam zabiegi ugodowców poznańskich, którzy usiłują wysledzić teraz przyczynę zwrotu w usposobieniu cesarza Wilhelma. Tłomaczenie polityki antypolskiej intrygą, chociażby nawet przez Bismarcka prowadzoną lub podszczuwaniem hakatystów jest po prostu dowodem naiwności, jak również wszelkie próby przekonywania »uczciwej« opinii niemieckiej. Walka nasza z Niemcami jest wynikiem konieczności historycznej i ekonomicznej. Sposób prowadzenia tej walki zmieniać się może w szczegółach, w objawach zewnętrznych, ale w istocie swej będzie ona zawsze współzawodnictwem plemiennym i zarobkowym, właściwie narodowym i ekonomicznym. Nawet zmiana systemu rządowego nie zmieniłaby jej istoty.

Okazuje się to najlepiej w stosunku duchowieństwa i wogóle stronnictwa katolickiego do sprawy polskiej nie tylko na Śląsku, ale i w Prusiech zachodnich i wogóle na całym obszarze ziem polskich pod panowaniem pruskim. Niedawno jakiś ksiądz w *Schles. Volkszeitung*, organie stronnictwa katolickiego, wzywał rząd, żeby wystąpił energicznie przeciw agitacyi polskiej na Śląsku. Walka duchowieństwa z pismami polskimi, jak szczerze zaznacza inny ksiądz w *Katoliku*, zaczęła się z tego tylko powodu, że »otwarcie w duchu polsko-narodowym piszą«. Duchowieństwo »traci wpływ, zaufanie i powagę u ludu«, przedział pomiędzy jego dążnościami i ruchem narodowym staje się coraz wyraźniejszym. Pisaliśmy już niejednokrotnie o stanowisku duchowieństwa na Śląsku wobec sprawy narodowej. Świeżo właśnie biskup Kopp wydał rozporządzenie, dotyczące wprowadzenia księstwa cieszyńskiego, ale dobitnie stwierdzające dążności germanizacyjne wyższych władz duchownych. Biskup wrocławski rozkazał wszystkim księżom, żeby wystąpili z towarzystwa prasowego, wydającego *Gwiazdkę cieszyńską*, a wkrótce zapewne, jeżeli rząd austriacki tego tego wybryku pruskiej buty nie skarci, rozkaże im wystąpić ze wszystkich towarzystw narodowych. Zuchwały postępek tego pruskiego słuźalca w sutannie, ośmielającego się ograniczać prawa obywateli austriackich, zapewnione im ustawą zasadniczą, daje pojęcie o położeniu niższego duchowieństwa na Śląsku Górnym wobec wymagań władzy kościelnej.

Jakkolwiek lud polski na Śląsku bardzo jest pobożnym i nie tylko do katolicyzmu, ale i do duchowień-

stwa przywiązany, umiał jednak zdobyć się na samodzielność w sprawach politycznych, jak świadczą chociażby wybory kilku posłów, przeciw którym i stronnictwo centrum, i wyższa władza kościelna i z polecenia jej prawie wszyscy księża występowali. Ruch narodowy na Śląsku jest zarazem ruchem ludowym i przedstawicielami jego mogą być tylko ludzie, którzy bronią szczerze interesów społecznych wyborców i otwarcie przyznają się do polskości. Duchowieństwo śląskie w znacznej większości stanęło nietylko po stronie Niemców ale i po stronie klas uprzywilejowanych, co zaostriżyło jeszcze stosunki między niem i ludem.

Dziś sprawa tak stoi, że duchowieństwo, które było niegdyś ważnym czynnikiem odrodzenia narodowego na Śląsku, musi być zupełnie z bilansu sił naszych wykreślone. Większość księży jest wrogo względem narodowych i społecznych dążeń ludu usposobioną, idzie ręką w rękę z systemem rządowym, różni się zaś tem tylko od szowinistów niemieckich, że chce germanizować Polaków »rozważnie i powolnie«. Mniejszość, złożona z ludzi uczciwych i szczerych patriotów polskich lub tylko polsko-śląskich, nie ma ani wpływu, ani znaczenia i sama wyznaje, że »w dzisiejszych stosunkach nie jest w stanie złemu zaradzić«. Ci księża liczyć się muszą z polityką biskupów, odsuwają się od wszelkiej działalności, proszą nawet, jak pewien wikaryusz w Prusiech Zachodnich, żeby pisma polskie przychylnie o nich nie wspominały, bo kwalifikacja *polen freundlich* pozbawia młodego księdza nadziei otrzymania probostwa a starszemu zamyka drogę do wyższych godności duchownych. Księża zależni są od biskupów, a biskupi od ministra i wogóle od sfer rządowych, którym, zresztą z własnej woli, są we wszystkim posłuszni, co niejednokrotnie było już stwierdzonym.

Polityka narodowa na Śląsku, szczerze ludowa i szczerze polska, nie może więc rachować na współdziałanie duchowieństwa, przeciwnie, musi wyzwalać się z pod jego wpływu, musi zrywać stopniowo dotychczasową łączność, a jednak musi mimo to pozostać katolicką. Jest to zadanie bardzo trudne, ale zarazem konieczne, bo duchowieństwo nie powinno dziś kierować naszymi sprawami narodowymi i społecznymi, jak chcą nawet niektórzy księża - patryoci, mający najlepsze zamiary, ale nie zdający sobie jasno sprawy z położenia. Bo wówczas, jak dosadnie tłumaczy *Orełdownik*, »społeczeństwem polskiem kierowałaby władza duchowna, władzą duchowną kierowałaby potęga na zewnątrz, a więc w końcu ta potęga zewnętrzna dysponowałaby naszymi sprawami narodowymi, a biskupi i księża odgrywałiby przy tem tylko rolę kleszczy, dobrych na to, żeby się w ogniu parzyły«.

Powtarzamy jednak, że usamolnienie polityki narodowej, odsunięcie duchowieństwa od wszelkiego wpływu na nią, jest zadaniem bardzo trudnym, wymagającym wielkiej ogłędności w postępowaniu ludzi i pism, kierujących sprawą narodową na Śląsku. Ruch ludowy polski musi zachować charakter katolicki, a tymczasem stosunki tak się układają, że zerwanie wszelkiej łączności z duchowieństwem, a nawet jawna z niem walka jest w bliskiej przyszłości prawdopodobną. Dotychczas prasa polska na Śląsku szczęśliwie pokonywała, a raczej omijała tę niebezpieczną przeszkodę w działalności narodowej, ale utrzymanie niezbędnej równowagi przez czas dłuższy okaże się z pewnością niemożliwym. Księża germanizatorzy swoim postępowaniem ułatwiali uświadamianie ludu, wyzwalanie się jego z pod przewagi politycznej duchowieństwa. Ale chociaż świadomość po-

lityczna i narodowa ludu śląskiego wciąż wzrasta, nie rozszerzyła się ona na całą jego masę i zwykle nie wznosi się nad poczucie odrębności plemiennej. Duchowieństwo wiele może zaszkodzić sprawie narodowej, co prawda, szkodząc jednocześnie sprawie kościoła. Ten wzgląd jednak nie powstrzyma germanizatorów, a nam »podkopywanie fundamentów kościoła katolickiego« nie da ani pożytku, ani nawet pociechy.

I to trzeba mieć na uwadze, że duchowieństwo było jeżeli nie główną, to bardzo poważną siłą intelektualną w ruchu narodowym na Śląsku. Zastęp inteligencji świeckiej, szczerze poczuwającej się do polskości, jest szczupły, a i w tym zastępie nie wszyscy »polską swą duszę zachowali zdrową«, jak powiada poeta śląski. Świadoma polskość tej inteligencji jest mniej jeszcze utrwaloną, niż polskość ludu, bo gdy ta ostatnia opiera się na żywym poczuciu odrębności, pierwszą osłabiają wpływy otoczenia i wychowania na wskrós niemieckiego. Powoli dopiero zaczyna się wytwarzać na Śląsku ta, że tak powiem, atmosfera narodowa, w której dusza polska żyć i rozwijać swą działalność może. Więcej tam jeszcze Ślązaków, mówiących i to nie zawsze po polsku i poczuwających się do polskości, aniżeli Polaków prawdziwych. Postęp niezaprzeczenie jest wielki, ale najgorliwsza działalność patriotyczna w ciągu lat kilkunastu nie mogła zastąpić braku wspólnej tradycji historycznej, ani usunąć wpływów wiekowego odosobnienia, które zresztą dotychczas istnieje. Właściwie Śląsk od dwudziestu lat zaczął żyć wspólnym życiem z całą Polską i dopiero przystosowuje się do nas, do naszych dążeń i ideałów narodowych, dopiero zapoznaje się z naszą tradycją narodową, z właściwościami naszej kultury polskiej.

Niedostatecznie uwzględniają ten stan rzeczy ci wszyscy, którzy, widząc własnymi oczyma szybkie, nieraz imponujące postępy polskości na Śląsku, niecierpliwą się i chcieliby tętno ruchu narodowego przyspieszyć. I nam się zdaje, że mogłoby ono bić żywiej, że możnaby zakres pracy narodowej rozszerzyć, natężenie jej wzmocnić. Powstrzymujemy się jednak od stanowczego wyrokowania w tej sprawie, bo rozumiemy, że w takich warunkach, w jakich działać muszą kierownicy polityki narodowej na Śląsku, lepszą jest niepotrzebna nawet powolność, aniżeli ryzykowna pośpieszność, która narazić może dotychczasowe zdobycze. Ludzie, którzy tam pracą mozolną budują polskość, właściwie wnoszą zaledwie fundamenty pod gmach przyszłości. Robota ich musi być powolną i ostrożnie prowadzoną, nietylko dlatego, że jest bardzo trudną, ale i dlatego, że powinna być mocną i trwałą.

Ale zachowując spokój, zimną krew i roztropną przeczność, można i trzeba jasno zdawać sobie sprawę z istniejącego dziś układu stosunków i niebezpieczeństw, które grożą ruchowi ludowemu i narodowemu na Śląsku w bliskiej przyszłości. System rządowy pruski, poparty gorliwym współdziałaniem opinii publicznej niemieckiej, której brutalnem ale wiernem wyrażeniem jest działalność hakatystów, ze zdwojoną zaciekiłością napadać będzie i już napada na polskość we wszystkich dziedzinach naszego życia. Musimy być przygotowani na nowe prześladowania, na nowe środki ucisku, dla nas wyłączone obmyślane, nawet na ustawy wyjątkowe, uszczuplające lub znoszące nasze prawa konstytucyjne. Zapowiedź zmiany ustawy o stowarzyszeniach wskazuje, że rząd niemiecki wybrał już punkt, w który chce nam cios dotkliwy zadać.

Walka, którą rząd niemiecki zapowiada, ma wszystkie znamiona walki szczepowej i nasza więc działalność obronna musi mieć wyraźny charakter narodowo-polski. Wszelkie zabiegi żeby zjednać przychylność rządu lub opinii niemieckiej, wszelkie wykrętne lub naiwne tłumaczenia i usprawiedliwiania nie osiągają celu, przeciwnie, ośmielają przeciwnika a nas osłabiają, bo ludzą społeczeństwo płonną nadzieją zażegnania niebezpieczeństwa. Trzeba temu niebezpieczeństwu śmiało zajrzeć w oczy i pozbyć się złudzeń, które w takiej chwili są już nie słabością, ale zbrodnią polityczną. Polityka ugodowa nigdy nie miała w prasie śląskiej zwolenników, a dziś szkodliwym złudzeniem jest nietylko wiara w możliwość pogodzenia systemu rządowego pruskiego z dążeniami narodowymi polskimi, równie szkodliwym i niebezpiecznym jest łudzenie się, że duchowieństwo katolickie zawróci się z drogi, którą wbrew interesom kościoła wybrało. Część duchowieństwa mimo najlepszych chęci pomocną nam być nie może, bo jest skępowaną wymaganiami karności kościelnej, druga część, która pracuje *propter esum sed non propter Jesum*, obojętna i bierna, stanie się ślepym wykonawcą rozkazów zwierzchności, trzecia zaś wrogo jest względem dążeń naszych usposobiona i weźmie niewątpliwie czynny udział w przesładowaniu polskość. Duchowieństwo zależne od biskupów, a pośrednio od władzy świeckiej, nie może być sojusznikiem naszym w tej walce, którą nam rząd wypowiada. Jesteśmy już w zaborze pruskim Polakami bez szlachty, która miała monopol tradycji narodowej, a dzisiaj z pola walki zesła; na Śląsku jesteśmy Polakami nawet bez tej tradycji historycznej, potrafimy więc zostać katolikami bez współdziałania duchowieństwa. Nie należy zaostriąć przeciwieństwa między księżmi i ludem polskim, ale nie należy też spodziewać się zwrotu w polityce kościelnej i cieszyć się nadzieją nieprawdopodobną, że możliwym jest dziś ten sam stosunek, jaki istniał w czasie walki kulturalnej.

Na walkę, która go niechybnie czeka, musi lud polski iść sam, bez sojuszników i doświadczonych przewodców, z wiarą tylko w swoje prawo, i w swoją siłę przyrodzoną.

Z CAŁEJ POLSKI.

Sztuczka kuglarska w programie ugodowym. Artykuł p. Godlewskiego. Skutki polityki ugodowej w zaborze pruskim. Lud i duchowieństwo. Rozporządzenie biskupa Koppa. Sprawa śląska i Koło polskie.

Znany jest fortel polemiczny, polegający na tem, że mniemanemu czy też istotnemu przeciwnikowi przypisuje się zdania i poglądy, których on nigdy nie wygłaszał i następnie zbija się je punkt po punkcie, osiągając tym sposobem łatwy tryumf. Podobnej metody używa w *Kraju* p. Straszewicz, protestując przeciw nadawaniu »przezviska« stańczyków ugodowcom warszawskim, chociaż przyznaje się do pokrewieństwa z »blaznami z pod Wawelu«. Wspólny rdzeń poglądów t. zw. polityki rozumu (*lux a non lucendo*) zdaniem jego polega na: 1) zerwaniu stanowczem ze spiskami i powstaniami, bo one »nietylko wytwarzają coraz fatalniejsze warunki zewnętrzne, ale nas samych uniemożliwiają do pracy nad zaspokojeniem potrzeb narodowych«; 2) odrzuceniu »wszelkich rachub na pomoc Europy, które są bolesnem a upokarzającym złudzeniem«; 3) szczerze lojalnym stosunku względem państwa, który jest warunkiem rozwoju i dobrobytu społecznego.

»Za punkt wyjścia do pracy nad przyszłością *nieodzwrotnie* wziąć należy istniejący moment, istniejące warunki«. Na to ostatnie zdanie zgodzą się niewątpliwie przedstawiciele wszelkich kierunków politycznych, nawet najskrajniejszych, nie zgadzali się na nie do niedawna tylko dzisiejsi ugodowcy, którzy zalecali ciągle społeczeństwu politykę biernego wyczekiwania chwili pomyślnej. Byłoby to niedorzecznością, jak niedorzecznością jest przypuszczenie że może być jakakolwiek polityka realna i czynna, któraby nie brała za punkt wyjścia »warunków istniejących«.

Trzy wyżej zaznaczone punkty główne polityki rozumu, rzekomo wynalezionej przez ugodowców warszawskich i stańczyków krakowskich, znaleźć można w programach wszystkich stronnictw polskich, działających na gruncie legalnym w Galicyi i zaborze pruskim. Stronnictwo ruchu ludowego w Poznańskim, którego organ (*Orełdownik*) niedawno *Kraj* zaliczył do pism rewolucyjnych i socjalistycznych, wyraźnie podkreśla te trzy punkty w swoim programie politycznym. Sądzę, że nawet stronnictwo ludowe w Galicyi mogłoby je podpisać z małą zmianą, mianowicie zastąpiwszy wyraz lojalny wyrazem legalny stosunek do państwa. O powstaniach i spiskach żadne ze stronnictw, jawnie działających, dziś nie myśli. A jeżeli nie potępiają spisków i powstań w przeszłości i nie wyrzekają się ich na przyszłość, to dla tego, że znają nietylko »abecadło pojęć politycznych«, które *Kraj* dopiero wykuwa, ale i »prawa fizyczne, biologiczne i społeczne« zwłaszcza prawo przyczynowości historycznej, że liczą się w polityce z rzeczywistością nie zaś z doktrynami, i rozumieją, że w pewnych warunkach nielegalne środki działania, nawet spiski i powstania mogą być odpowiednimi i skutecznymi.

Jakkolwiek p. Straszewicz i mistrz jego p. Spasowicz są zaciekłymi doktrynerami, umieją jednak prowadzić grę polityczną ze zręcznością szulerów i w danym wypadku *Kraj* bałamuci naiwnych czytelników swoich sztuczką kuglarską. Poglądy polityczne, które podzielają wszystkie nasze stronnictwa umiarkowane, przedstawia on jako punkty zasadnicze polityki ugodowej i w ten sposób ratuje mocno zaszarganą jej reputację. Charakterystyczne za właściwości tej polityki lekko tylko zaznacza w zdaniach wtrąconych, jak np. »ciągła, bezwzględna, a wskutek tego i bezmyślna opozycja (to jednoznaczne) uniemożliwia skuteczną pracę nad postępek ekonomicznym i zaspokojeniem potrzeb narodowych«. Gdyby mogła istnieć opozycja bezwzględna, byłaby ona niewątpliwie bezmyślną, ale takiej opozycji niema, każda jest względna, co nawet najtępszy pozytywista powinien rozumieć. Sądzę, że nawet ogromną większość najskrajniejszych opozycjonistów zadowolniła by np. taka unia osobista Polski z Rosyą, jaka łączy Austryę z Węgrami. Takie przypuszczenie każdy polityk rozumu nazwie niedorzecznością. Wiem o tem, jak również i o tem, że w r. 1850 byli na Węgrzech tacy Straszewicze, Piltze i Spasowicze, którzy zżymali się na podobne niedorzeczności, i byli w Austrii mądrzejsi od nich Metternichy, którzy nazywali Włochy »terminem geograficznym«.

Zaznaczywszy, że »rozwój i dobrobyt społeczny wymagają szczerze lojalnego stosunku względem państwa«, *Kraj* w rodzaju wyjaśnienia dodaje: »porozumienia z rządem«. To także sztuczka szulerska. Lojalny, należałoby raczej powiedzieć — legalny stosunek do państwa nie wymaga wcale porozumienia z rządem i nie wyklucza bardzo ostrej nawet opozycji. Stosunek

Czechów do rządu austriackiego jest legalny, a do dynastji — lojalny, co nie przeszkadzało im i nie przeszkadza prowadzić opozycji zasadniczej, która nie szkodzi bynajmniej ani ich dobrobytowi, ani rozwojowi społecznemu. Potępiając opozycję »ciągłą i bezwzględną«, *Kraj* nie powiada: na jaką opozycję pozwala »polityka rozumu«, jaką dopuszcza ustrój państwowy rosyjski? Rozumiem powód tego milczenia, bo w Rosji »lojalny stosunek względem państwa« uniemożliwia wszelką opozycję. To należało wyraźnie zaznaczyć, gdyby polityka ugodowa była szczerą i ucziwłą nie względem rządu, ale względem własnego społeczeństwa.

Stosunek lojalny do rządu w ustroju państwowym rosyjskim oznacza, że nietylko wszelka opozycja, ale i wszelka robota polityczna, nie mająca sankcji urzędowej, (a żadna mieć jej nie może), — jest spiskiem. Narady naszych ugodowców, konszachty ich z politykami krakowskimi i poznańskimi, wysyłanie delegatów dla urabiania opinii publicznej w dziennikarstwie galicyjskiem, nie mówiąc już o przemycaniu »Obrachunków politycznych«, których do Warszawy duch święty nie zesał, a »konspiratorzy« nie sprowadzali — wszystko to jest spiskiem, wszystko podciągnąć można pod odpowiednie artykuły kodeksu karnego. Spisek ten, do którego należą ugodowcy, różni się od innych spisków tylko stopniem karygodności, ale w każdym razie jest działaniem nielegalnym. Tasując po szulersku poglądy polityczne, *Kraj* miesza również umyślnie ludzi, którzy, jak np. Grocholski, Zyblikiewicz, Smarzewski, Ziemiakowski nie wspólnego nie mieli ani ze stańczykami, ani z t. zw. polityką rozumu i zaprotestowaliby przeciw umieszczaniu ich nazwisk obok nazwisk p. p. Spasowicza, Straszewicza i Markgrafskego.

Ten ostatni bardzo gorliwie zajmuje się sprawą pojednania Polaków z rządem, widocznie ma *Wink von Oben*, co ubocznie potwierdza przypuszczenie, iż ta komedia ugodowa jest w danej chwili dla rządu potrzebną.

Dowiedł tego również p. Godlewski w *Stowie*, chociaż chciał dowieść zgoła czego innego. Wykazuje on, że po powstaniu społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim niejednokrotnie zaznaczało dążności pojednawcze i przytacza odpowiednie wyjątki z *Przeгляdu tygodniowego*, *Niwy*, *Gazety polskiej* i wydanego na cześć Jeża *Ogniska*. Wszystkie więc, zdaniem jego — stronnictwa polskie — szlachecko - zachowawcze, mieszczańskie, postępowe i radykalne — zaznaczyły usposobienie ugodowe. Autor chce dowieść, że polityka ugodowa jest silnie w społeczeństwie naszym ugruntowana, przede wszystkim jednak dowodzi tego, że dopóki dla rządu nie było pozorne pojednanie pożądanem, wszelkie, najlojalniejsze nawet oświadczenia nasze pogardliwie były odrzucane. Nie zabiegaj więc i rozumna polityka ugodowców wywołały — jeżeli wywołały wogóle — pewną zmianę w usposobieniu sfer rządowych, ale zgoła inne przyczyny, mianowicie względna możliwość zawiązań zewnętrznych albo coraz wyraźniejsze objawy dążności opozycyjnych i rewolucyjnych nietylko wśród inteligencji ale i wśród ludu; albo też obie te przyczyny oddziałują razem. To też nie dziwi mię wcale gorliwość p. Markgrafskego, który ma niedokładne wprawdzie, ale bądź co bądź lepsze aniżeli nasi ugodowcy pojęcie o zakresie i skuteczności wszelkiego rodzaju robót opozycyjnych.

Przy sposobności zaznaczyć muszę, że p. Godlewski popełnił z całą świadomością kłamstwo, wymieniając nazwiska głośniejszych współpracowników *Ogni-*

ska jako ludzi, solidaryzujących się z programem, ogłoszonym w artykule »Wskazania polityczne«. Dwaj z wymienionych w *Stowie* nadesłali nam protesty z prośbą o zamieszczenie wyjaśnienia, ma się rozumieć, bez wymieniania nazwisk, bo nie chcą zawierać bliższej znajomości z przyjacielem p. Godlewskiego — pułkownikiem żandarmów Markgrafskego. Nie wiem — pisze jeden z nich, czy autor »Wskazań« podpisałby *dziś* ówczesny swój program, ale to wiem i pamiętam, że przed wydrukowaniem nie czytałem go wcale i że solidarni byliśmy tylko w zamiarze uczczenia Jeża, zasłużonego pisarza i zasłużonego żołnierza idei niepodległości narodowej.

Nie można powiedzieć, żeby przyjaciele rosyjscy łudzili naszych ugodowców. P. Markgrafskegi każe im składać wciąż dowody usposobienia pojednawczego i następnie dosyć jeszcze długo czekać na łaskawe »zniesienie *niektórych* przepisów ograniczających«, w istocie swej i teraz niezbyt doniosłych«. *Warszawski Dziennik* »nie może czytać bez uśmiechu, jakoby język polski podlegał prześladowaniu i uciskowi« i w troskliwości o podniesienie poziomu umysłowego włościan polskich zaleca, żeby władza nakazała wszystkim gminom prenumerowanie *Sielskiego Wiestnika*, a nawet żeby to pismo rosyjskie sprowadzano dla wszystkich szkół, ściągając przymusowo z włościan należność za prenumeratę. Ponieważ *Wiestnik* redagowany jest w duchu fanatycznie prawosławnym, nauczyciel, żeby nie wzbudzać podejrzliwości ludu, nie powinien czytać dzieciom artykułów religijnych. Natomiast dorośli będą mogli swobodnie zachwycać się »pięknością wewnętrzną« prawosławia. Pisma polskie, prowadzące politykę ugodową, nie informują wcale czytelników swoich o podobnych projektach, ukrywają je troskliwie. Czy i to nazywa się polityką rozumną i lojalną... względem swego narodu?

Poruszyli się w ostatnich czasach skazani na wy-poczynek przymusowy kierownicy partji dworskiej w zaborze pruskim. Za pomocą otwartego listu bar. Chłopowskiego spodziewają się »wydobyć nasze sprawy na porządek dzienny«, a za pomocą nitki, której im dostarczył proces toruński, marzą o rozmotaniu kłębka intryg dworskich i odzyskaniu łaski cesarskiej. *Dziennik poznański* z przebiegu procesu, który w innym miejscu streszczamy i artykułu *Kleines Journalu* o myszkowaniu szpiega Lützowa w kołach polskich w Toruniu — wysnuł wniosek, że »nie fałszywa polityka Koła polskiego, nie mowa lwowska Kościelskiego sprowadziły zwrot ku polityce antypolskiej, lecz gruba intryga, intryga bismarkowska, która w błąd zdołała wprowadzić sfery miarodawcze«.

Tymczasem intryga bismarkowska przeciw Polakom za pomocą Tauscha i Lützowa jest tylko przypuszczeniem, ale gdyby nawet była prawdą, stwierdziłaby tylko to, co ludziom umiejącym patrzeć i rozumieć sprawy, na które patrzą, proces toruński dowodnie wykazuje. A mianowicie, że wszelkie zwroty i zmiany w polityce sfer dworskich i polityce osobistej Wilhelma II zależne są niemal wyłącznie nietylko od »intryg bab-skich«, na które skarżył się Bismark, ale i od brudnych intryg dziennikarsko-policyjnych, od kaprysów dzieciennych i plotek. Profesor Quide w pamflecie swym p. t. *Caligula* znakomicie scharakteryzował to »wielkie X«, jak niedawno wyraził się Liebknecht, tego chorobliwie wrażliwego i chorobliwie próżnego dekadenta, którego chwiejny charakter i lichy umysł nieodpowiadają wyde- tej do potwornych rozmiarów ambicyi. Tylko naiwni

intryganci, tylko prawdziwi »dworacy« mogli opierać kombinacje na takich »robaczywych stosunkach«, na usposobieniu człowieka, który zmienia ministrów i sposób rządzenia na podstawie plotki lub doniesienia policyi tajnej. Była to naiwność występna, której skutki odczuwa dziś całe społeczeństwo.

Bo niewątpliwie następstwem polityki ugodowej jest dzisiejszy stosunek duchowieństwa do systemu rządowego, coraz wyraźniejsza zależność władzy kościelnej od władzy świeckiej. Wszystkie instynkty nikczemne znajdują uprawnienie w tej polityce pojednania. Byli zawsze wśród duchowieństwa naszego ludzie, którzy wyżej cenili swoje interesy osobiste, aniżeli interes narodu, ale ci ludzie stosować się musieli do ogólnego a wysokiego poziomu moralności politycznej swego stanu, do surowych wymagań swej władzy. Teraz mają swobodę działania, której im nie ukróci biskup, zależny od ministra i dworujący dobrowolnie rządowi, zakładają więc, jak ks. Muszyński w Nowem towarzystwa mieszane, urządzają wykłady niemieckie w towarzystwach polskich, zaprowadzają w parafiach polskich kazania i śpiewy w języku niemieckim. Doszło do tego, że uczeni księża proszą, żeby ich w pismach nie chwalono, bo »w dzisiejszych czasach — pisze pewien ksiądz w *Gazecie toruńskiej* — każdy czyn i każde słowo kapłana Polaka śledzą i biorą na uwagę. Niech jeno gazeta polska uwzględni pracę i zasługi któregoś z młodych kapłanów, a już imię jego zapiszą — na czarnej tablicy« — z dopiskiem »polenfreundlich«, — »fanatisch« — a nawet »staatsgefährlich« a ów ks. wikaryusz — jak doświadczenie uczy, pomimo swych zdolności i wysokich zalet kapłańskich — nigdy nie doczeka się probostwa«. Wykazawszy, że nietylko księża ale i biskupi działają nieraz pod naciskiem zewnętrznym, *Oreodownik* protestuje przeciw głoszonej i w praktyce nieraz stosowanej zasadzie, że duchowieństwo powinno kierować naszymi sprawami narodowymi, i tak dalej mówi:

»Społeczeństwo polskie nie może ścierpieć tak w interesie narodowym jak kościoła, żeby mu niektóre gazety lub osoby świeckie przy publicznych występach narzucały władze duchowne, jako powołanych kierowników nawet w sprawach czysto świeckich, narodowych.

»Społeczeństwo polskie i katolickie nie może ścierpieć tego, żeby mu redaktorzy protestanckich i żydowskich gazet, notorycznie znanych z wrogiego ku nam usposobienia, trzęsali »sprawą polską«, jak jakim łachmanem, i przytem powoływali się na powagę biskupów naszych. (ks. Stablewski).

»Społeczeństwo polskie i katolickie nie ścierpi na dłuższy czas, żeby poszczególni księża w interesie własnej wygody doczesnej wyzyskiwali i smutne położenie kościoła naszego i smutne położenie narodowości polskiej«.

Gazeta toruńska, która prośbę wikaryusza zamieściła, powiada: »rzucają dziś hasło: jeden język państwowy, a obok niego drugie: jeden kościół zupełnie zależny od ministra« i wzywa księży żeby pomyśleli nad tem, dopóki nie zerwie się »węzeł jedności i miłości, jaki jeszcze łączy lud nasz z kapłanami«.

Rwie ten węzeł oddawna ks. kardynał Kopp, do którego dyczezy należy oprócz znacznej części Śląska pruskiego księstwo cieszyńskie. Rozzuchwalony opieką rządu pruskiego i pobłażliwością władz austriackich biskup wrocławski wydał niedawno następujące rozporządzenie za pośrednictwem generalnego wikaryusza, ks. Findińskiego.

»Jego Eminencya, który w Nr. 41 *Gwiazdki Cieszyńskiej* widzi wyszydzenie zaprowadzonych w Karwinie urzędzeń kościelnych, zarządził w dniu 30 listopada br. Ck. 377, aby duchowni członkowie wystąpili niezwłocznie z katolickiego Towarzystwa prasowego (wydającego *Gwiazdkę Cieszyńską* przyp. red.), dopóki towarzystwo to będzie stało w jakimkolwiek stosunku do wspomnianego dziennika.

»Wskutek tego otrzymuje Wasza Przewielebność polecenie, aby wystąpił z tego Towarzystwa prasowego i doniósł tutaj o wystąpieniu najpóźniej do 26 bm.«

Ma się rozumieć *Gwiazdka*, wydawana w duchu ściśle katolickim i redagowana przez ks. Londzina, nie mogła wyszydzać urzędzeń kościelnych, o których zresztą w całym numerze 41 nie ma mowy. Wspomniano w nim tylko o stosunkach kościelnych w Karwinie, które korespondent *Nowej Reformy* (o ile nam wiadomo ksiądz) nazywa »monstrualnymi«. Kardynał Kopp sprowadził do Karwina Jezuitów z *Krakowa* niby to pod pozorem prowadzenia walki z socyalistami, a w gruncie rzeczy dla germanizowania ludności polskiej. Sprowadzono ich w porozumieniu z hr. Larischem i oddano im administrację probostwa w Karwinie. Ojcowie Jezuici spełnili pokładane w nich nadzieje, i zaprowadzili zaraz w Karwinie kazania i nabożeństwa niemieckie, do czego poprzedni, zmarły proboszcz, ksiądz świecki, w żaden sposób nie dał się nakłonić.

Rozporządzenie ostatnie jest tylko nowym objawem systemu, który ks. Kopp na Śląsku austriackim stosuje. Wszystkie większe parafie polskie obsadza on zmienionymi księżmi czeskimi a księżmi Polaków, nie ukrywających swego patryotyzmu, prześladuje. Obecnie zabronił księżom należenia do towarzystwa, które wydaje *Gwiazdkę*, wkrótce zabroni im należenia do »Macierzy szkolnej« i innych towarzystw narodowych, nakoniec każe im agitować i głosować na liberałów niemieckich, jak to dziś czyni generalny wikaryusz ks. Findiński.

W tej sprawie zasługuje na szczególną uwagę zuchwalstwo biskupa wrocławskiego, który, będąc sam poddanym pruskim, ośmiela się ograniczać prawa obywatelskie poddanych austriackich. Oddawna już wykazywano konieczność zniesienia tej anomalii, jaką jest zależność kościelna księstwa cieszyńskiego od stolicy biskupiej w Wrocławiu. Nadarza się teraz wyborna sposobność do ponownego poruszenia i pomyślnego przeprowadzenia tej sprawy, ale trudno spodziewać się, żeby Koło polskie wystąpiło energicznie i żeby zażądało od rządu położenia tamy zamachom germanizacyjnym biskupa Koppa. Coraz więcej nabiera prawdopodobieństwa wiadomość, podana niegdyś przez *Głos narodu*, że przewodce stańczyków zawarli w sprawie śląskiej układ z Niemcami i pozostawili im zupełną swobodę działania. Inaczej niepodobna byłoby wytłomaczyć dziwnej obojętności posłów polskich w sprawie śląskiej, obojętności, za którą nawet *Kraj* energicznie Koło strofuje. »Jeżeli prawdą jest wszystko, co mówił p. Lewakowski« — pisze *Kraj*, a my dodamy, że to tylko eżesz smutnej prawdy — to niepodobieństwem jest pojąć »dlaczego Koło polskie i rząd austriacki tolerują taki stan rzeczy? Jakież rozsądne powody przemawiają za tem, żeby chłop polski na Śląsku stanowią jedyny wyjątek w całym państwie? Jakaż wyrefinowana kazyistyka potrafi wytłomaczyć włóścianom z pod Cieszyna, że nie powinni rościć sobie praw do tego, co mają w Galicyi Rusini, do tego, co ma w Galicyi każda osada niemiecka«.

Słusznie zaznacza *Kraj*, że opinia publiczna nie może zrozumieć przyczyn tolerowania istniejących na Śląsku stosunków, ani polityki Koła a »niedobrze jest dla deputowanych, jeżeli wyborcy nie rozumieją ich polityki«. Głosu opinii publicznej Koło nie słucha, niema więc sposobu wywarcia skutecznego nacisku na posłów polskich. Dobrze byłoby jednak, gdyby p. Lewakowski ponownie z powodu rozporządzenia ks. Koppa sprawę śląską poruszył i raz jeszcze wykazał dowodnie ten rozdzźwięk, jaki istnieje między przekonaniem i usposobieniem ogółu a polityką jego przedstawicieli. Może takie wystąpienie doraźnego pożyczku Ślązacom nie da, ale przyczyni się niewątpliwie do zdyskredytowania tej polityki, którą Koło prowadzi.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 8 grudnia.

Gospodarka rosyjska na kolejach.

Z powodu wypadku na drodze Terespolskiej pisał już dawniej *Przeгляд wszechpolski* o systemie i skutkach gospodarki rosyjskiej na kolejach, które przeszły na własność rządu. Można by dużo więcej o tej gospodarce napisać, na teraz jednak zaznaczą tylko, że obecny naczelnik drogi Terespolskiej, tłumacząc przyczynę wypadku pod Chotyłowem, usprawiedliwił się, że jest skrepowany w wyborze pracowników względami narodowościowymi i uzyskał nawet pewną swobodę postępowania przy mianowaniu oficyalistów i urzędników.

Natomiast pragnę obecnie pomówić o gospodarce kolejowej na tych drogach, które możemy uważać za nasze, bo stanowią one własność prywatną, a w radach zarządzających zasiadają niemal wyłącznie Polacy. Są to drogi Nadwiślańska i Warszawsko-Wiedeńska. Niestety, zaznaczył muszę, że gospodarka na tych drogach przedstawia się bardzo smutno, tym smutniej, że nie tylko Moskalom, ale swoim winę tego stanu rzeczy przypisać należy.

Przedewszystkiem jednak zaznaczę, że tylko bardzo niewielka część winy spada na p. Leopolda Kronenberga, prezesa rad zarządzających obu tych dróg. Nie ma on zdolności, ani energii swego ojca, lecz jest niewątpliwie człowiekiem uczciwym i pełnym chęci najlepszych. Ale nie zajmuje się osobiście sprawami kolejowymi, nie wgląda zwłaszcza w szczegóły gospodarki i pozwala rządzić ludziom, którzy często na zaufanie nie zasługują.

Oto jeden z faktów, świadczący, w jaki sposób wykonywane są w rzeczywistości dobre zamiary p. Kronenberga.

W 1892 r. przeznaczył on z własnych funduszy 10.000 rs. na pożyczki bezprocentowe dla urzędników drogi Nadwiślańskiej, którzy przesłużyli przynajmniej 5 lat i otrzymują mniej niż 1500 rs. pensyi. Zdawałoby się, że z pożyczek tych korzystać powinni wyłącznie Polacy, ponieważ Rosyan dopiero w ostatnich latach zaczęto przyjmować na drogę Wiedeńską i Nadwiślańską i bodaj żaden z nich nie ma pięciu lat służby. Tymczasem w r. 1895 i w pierwszej połowie 1896 otrzymali pożyczki niemal wyłącznie Rosyanie, z których jeden tylko wymaganym warunkom odpowiadał. Oto dowody:

Fiedorow Włodzimierz, służy od 1 lutego 1891 r. w r. 1894 1 marca otrzymał 100 rs. Temuż, chociaż tylko część pożyczki zwrócił, wydano 3 czerwca r. 1895 rs. 150.

Pietrow Iwan, pomocnik naczelnika stacji Lublin, służy 1 lutego 1894 r.; w d. 2 czerwca 1895 r. otrzymał

Sterlesow Sergiusz, służy od 1 lipca 1892 r.; w r. 1895 3 maja otrzymał 100 rs. Poprzednio 11 marca 1894 dano mu również 100 rs.

Blumenfeld służy od 1 lutego 1892 r.; w d. 6 października 1895 r. dano mu pożyczkę w kwocie 150 rs.

Andrejew Aleksander, służy od 1 października 1894 r.; w d. 4 sierpnia 1895 r. otrzymał 100 rs.

Pietrowskij Aleksander, syn naczelnika żandarmów kolejowych, zaczął służyć w r. 1894, a w r. 1895 otrzymał pożyczkę w kwocie 200 rs.

Mógłbym tę listę przedłużyć, ale przytoczone przykłady chyba wystarczą. Żaden z wyżej wymienionych nie miał prawa do otrzymania pożyczki, tymczasem Moskale rozdrapali cały prawie fundusz, a dla Polaków zostały tylko resztki.

Zkąd jednak wzięło się tylu Moskali na drodze Nadwiślańskiej, dla czego widzimy ich coraz więcej na drodze Wiedeńskiej? Przecie w radach zarządzających tych dróg zasiadają Polacy, przecie dyrektorem rady zarządzającej drogi Nadwiślańskiej i zastępcą prezesa jest Polak, p. Władystaw Kozłowski, a dyrektor finansowy drogi Wiedeńskiej p. K. Strasburgier także za Polaka się uważa. Są wprawdzie na obu drogach dyrektorowie rządowi Daragan i Rydzewskij, którego pomocnikiem jest Daragan 2-gi, ale mianować mogą oni urzędników tylko w niektórych wydziałach ruchu, telegrafu itp. i to na posady z pensją niżej 500 rs. Wszystkie posady wyższe, a nawet niższe w innych wydziałach obsadza rada zarządzająca, tymczasem importowani *obrusitiele* są na drodze Nadwiślańskiej nawet w wydziale buchalteryi, gdzie proteguje ich naczelnik p. Rapaport.

Ilu służy Moskali na drodze Nadwiślańskiej, dokładnie powiedzieć nie mogę, ale pewne wyobrażenie o ich napływie dadzą następujące cyfry. Cyrkularz nr. 172 z 15/3 października r. 1896 wykazuje w służbie ruchu i telegrafu 1017 osób. Z tej liczby było 29 tylko Polaków i 3 Moskali, mających prawo być wybranymi do komitetu kasy oszczędnościowo-zapomogowej. Ponieważ wybieralnymi są ci tylko, którzy przesłużyli przynajmniej 5 lat i otrzymują wyżej 800 rs. pensyi, to naturalnie Moskali wielu pomiędzy nimi być nie może. A przecie z tych 1017 z pewnością $\frac{1}{10}$ pensję wyższą nad 800 rs. pobiera, jeżeli więc jest 29 tylko Polaków, to resztę stanowią w przeważnej większości Moskale, bo nasi tak szybko nie awansują, żeby przed upływem 5 lat służby doszli do 800 rublowej pensyi.

Na drodze Nadwiślańskiej, na której dyrektorem rady zarządzającej jest p. Kozłowski, rządzi wszechwładnie dyrektor rządowy Daragan do spółki z naczelnikiem ruchu Wierchowskim, a gorliwie wysługuje się im p. Rapaport. P. Kozłowski ulega im we wszystkim, chociaż w wielu sprawach mógłby decydować stanowczo. Powiadają, że Daragan i Wierchowskij protegowali niegdyś p. Kozłowskiego do przyjaciela swego Apuchtina, ale gdyby nawet tak było, to dziś p. Kozłowski cieszy się takimi względami Apuchtina, że raczej Daragan i Wierchowskij potrzebują jego poparcia, aniżeli on ich. Przyjazny stosunek p. Kozłowskiego do Apuchtinem zaczął się z następującego powodu. P. Kozłowski nabył majątek Dębową Górę, na którym zahypotekowana była dosyć znaczna suma z funduszu stypendyalnego, zostającego pod zarządem kuratora. Sumę nowonabywca zobowiązał się spłacić, umiał jednak trafić, jak powiedzieliśmy, do p. Apuchtina i otrzymał prolongatę, dwukrotnie następnie powtórzoną, oraz, co ważniejsze, zastępstwo pierwszeństwa hipotecznego. Złośliwi szperacze wykazują, że terminy tej prolongaty poprzedzają zawsze ustępstwa, robione przez p. Kozłowskiego na rzecz żywiołu rosyjskiego na kolei. Nie mogą dać temu wiary chociażby dla tego, że p. Kozłowski jest człowiekiem zamożnym i jeżeli przyjaźni się z Apuchtinem to nie dla

uzyskania odroczenia terminu spłaty, ale raczej dla utrwalenia swego stanowiska, dla nadziei zajęcia w przyszłości wyższego przy poparciu tak wpływowej w Petersburgu osobistości. Ale jakiegokolwiek są pobudki utrzymywania tego przyjaznego stosunku, nakłada on na p. Kozłowskiego pewne obowiązki. Mile widziany w domu p. Apuchtina gość nie może przecie opierać się mianowaniu Moskali, musi być pobłażliwym na dokonywane przez nich nadużycia, musi w razie potrzeby popierać pp. Daragana i Wierchowskiego, gorliwych członków bractwa prawosławnego w Chełmie, instytucji, cieszącej się szczególną opieką pp. Apuchtina i Pobiedonosewa.

Na jesieni w r. 1894 wykryto nadużycia przy przeładunku towarów na stacyi Warszawa-Obwodowa, które polegało na następującej manipulacji. Przeładowanie towarów oddał p. Wierchowski przedsiębiorcy, który za ciężary, mające w jednej sztuce więcej niż 45 pudów wagi, otrzymywał opłatę wyższą, mianowicie $\frac{1}{4}$ kopiejki od puda. Stacja Warszawa Obwodowa, w zmwowie z przedsiębiorcą liczyła za kilka sztuk — 150 sztuk żelaza i podawała całkowitą wagę ładunku — 600 pudów, kiedy według dokumentów było najwyżej tylko 400—500. Tym sposobem w ciągu kilku miesięcy zanim nadużycie wykryto, nadpłacono przedsiębiorcy 1310 rs. Nadużycie, raczej oszustwo, było niewątpliwie stwierdzone i p. Kozłowski sam kazał poruszyć tę sprawę. Na posiedzeniu rady zarządzającej roztrząsano ją *in merito* i w protokole była nagana dla dyrektora rządowego i pośrednio dla naczelnika ruchu Wierchowskiego, który brał udział w dokonywanych nadużyciach i powinien był podać się do dymisji. Wtem p. Kozłowski nagle zmienił zdanie, za jego wpływem sprawę zatarto i protokół zmieniono, a Wierchowski dostał nagane. Wskutek tego przekręcenia całej sprawy wyszli z rady zarządzającej pp. Jastrzębski i Piltz, chociaż ten ostatni nie jest przecie Kantonem.

Jakkolwiek Daragan i Wierchowski za łaskawem zezwoleniem p. Kozłowskiego pchają swoich, gdzie mogą, nie wszyscy jednak Moskale znajdują gotowe posady. Wielu z nich oczekuje na posady i chociaż nie mają zajęcia, otrzymują płacę z różnych funduszków. W r. 1895 rozchód eksploatacyjny drogi Nadwiślańskiej przewyższył o 540.000 rs. przewidywanie budżetowe. Znaczną część tej sumy użyto na pensye dla uprzywilejowanych kandydatów, czekających na posady.

Nawet na najniższe posady Wierchowski promuje swoich. Wydał on okólnik (Nr. 100) do naczelników stacyi, ażeby na posady zwrotnicznych, dróżników, stróżów, tragarzy i t. p. nie przedstawiali miejscowych włóścian, ponieważ ma on mnóstwo podań dymisyonowanych żołnierzy z Rosyi, którzy są na te posady odpowiedniejsi.

A oto kilka faktów z gospodarki pp. Daragana i Wierchowskiego. Naczelnik 1-go dystansu drogi Nadwiślańskiej Lubiński i pomocnik jego Mysielski podali się do dymisji z powodu ciągłych zatargów z naczelnikiem remontu Moskałem Raszewskim. Na miejsce naczelnika mianowano, ma się rozumieć Moskala, Szybę, a na miejsce pomocnika również Moskala Batyja-Filipowicza, nie mającego specjalnego wykształcenia, któremu na wyraźne żądanie Daragana dano 1500 rs. pensyi, chociaż poprzednik pobierał 1200 i 500 rs. na drogę, pod pozorem, że nie ma odpowiednich kandydatów. Ten Batyj powyrzucał Polaków dozorców drogowych i dróżników i obsadził swoimi ziomkami całe biuro naczelnika dystansu.

Niejaki Matwiejew był na drodze Libawsko-Romeńskiej, z której przybyli do nas Daragan i Wierchowski, t. zw. ustawicielem pociągów. Dawni zwierzchnicy zrobili go pomocnikiem naczelnika stacyi w Kowlu, gdzie ów Matwiejew,

folgując instynktom narodowym, ukradł paszportowi burkę. Kradzież się wydała i naczelnik żandarmerji kolejowej w Lublinie, Paleolog, nie chcąc oddawać pol sąd ziomka, zwrócił się jednak do władzy kolejowej z podaniem, żeby usunęła takiego urzędnika. Istotnie zabrano go z Kowla i dzięki swym protektorom został rewizorem ruchu, a chociaż rada go niezatwierdziła, bo skandal był za wielki, Matwiejew, którego, nawiasem mówiąc, kilkakrotnie już obito i spoliczkowano — dotychczas zajmuje posadę, jako »pełniący obowiązki rewizora« i bierze 2400 rs. pensyi, nie licząc dyet i mieszkania.

Dwaj bracia Kunjewy, »latający telegrafisci«, wysłani na różne stacje na zastępstwo, okradli jakiegoś ofiera w łaźni. Oficer zbił złodziei i odebrał im pieniądze. Sprawa toczyła się w sądzie gminnym w Irenie.

Naczelnik stacyi Konopki, Radoliński zawiadomił władzę, że pomocnik jego Merczański wyjechał bez pozwolenia i przywłaszczył sobie sumę, znajdującą się w kasie biletowej. Radolińskiemu dano za to dymisyę, wprawdzie i Merczańskiego usunięto za złodziejstwo ze służby, ale otrzymał miejsce na kolei Wiedeńskiej, która ma tego samego prezesa.

W Rejewcu Moskal Kowalew ukradł pewną sumę. Polakowi, naczelnikowi stacyi, który o tem telegraficznie doniósł kazano pokryć deficyt i dano mu nagane, bo nie powinien był, zdaniem p. Wierchowskiego, oskarżać kolegi złodzieja.

Możnaby sporo napisać o skandalach, wyprawianych przez kontrolerów Muradowa i Butyżkina, który nie umie nawet porządnie pisać. Są to specyjalni kontrolerzy. Na wszystkich drogach i wogóle wszędzie i zawsze kontroler w każdym wydziale powinien być niezależnym od zarządu. Ale pp. Daragan i Wierchowski nie lubią takiej kontroli, postarali się więc, że sumę, przeznaczoną na wzmocnienie kontroli, przeniesiono do wydziału ruchu i ustanowili swoich własnych kontrolerów.

To samo, chociaż nie w takich rozmiarach, jak na drodze Nadwiślańskiej, dzieje się na kolei Wiedeńskiej. Dyrektor finansowy p. Strasburgier zachowuje się biernie i pozwala robić wszystko, co mu się podoba, Daraganowi 2-mu. Ten Daragan, młodszy brat Nadwiślańskiego, jest pomocnikiem dyrektora rządowego Rydzewskiego i głównym naczelnikiem ruchu i wydziału handlowego. Przeprowadził on tego rodzaju reorganizację, że dawni naczelnicy wydziałów zostali jego pomocnikami. Dyrektor rządowy Rydzewski jest niedołągą i żadnego, złego ani dobrego wpływu nie wywiera. Daragan 2-gi jest także członkiem bractwa chełmskiego i gorliwym *obrusicielem*, a zarazem człowiekiem bez przesądów, pobierającym haracz od podwładnych łapowników. Dwóch jego pomocników i współników fatalnie się skompromitowało: dawniej rewizor ruchu Makarow, a świeżo naczelnik brygad konduktorskich Dzedułow. Obaj brali łapówki głównie za wyrabianie posad, obaj obici zostali przez oszukanych. Łotrowstwa Makarowa i Dzedułowa wydały się tylko dla tego, że sprawy o ich pobicie doszły do sądu i na wtedy dopiero oskarżeni wyjaśnili pobudki swego czynu. Wkrótce, zebrawszy materyał, napiszę obszerniej o stosunkach na drodze Wiedeńskiej.

Tak gospodarują pp. Daraganowie, Wierchowski i inni na drogach żelaznych, które ogół nazywa polskimi. Do tych panów pretensyi nie mamy, ale zdrowa opinia publiczna powinna skarcić słabość lub obojętność tych, którzy ten stan rzeczy tolerują, chociaż przeciwdziałać by mu mogli; tymbardziej powinna napiętnować występne samolubstwo tych, którzy dla widoków osobistych wszelkie łotrowstwa Moskali osłaniają, a nawet pośrednio do nich dopomagają.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań, 12 grudnia.

Działalność komisji kolonizacyjnej. Niemieckie i nasze spółki. Statystyka szkół i możliwy z niej pożytek. Wzrost ludności katolickiej w Poznaniu. Artykuł *Gońca* o ruchu socjalistycznym.

Najnowsze wiadomości o działalności komisji kolonizacyjnej, zawierają obok już znanych nowe i dosyć ciekawe szczegóły, powtarzamy więc je za dziennikami niemieckimi.

Z 141 dóbr rycerskich, które komisya kolonizacyjna dla W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich zakupiła do końca 1895 r. rozparcelowano do 1 kwietnia 1896 r. 109, obejmujących obszar 67.480 ha., z tych osadzono całkowicie lub częściowo kolonistami niemieckimi 75 majątków. Z 1748 osadników pochodzą z niemieckich części Poznańskiego i Prus Zachod. 710, z innych krajów 911, a to z Prus Wschodnich 18, z Marchii 227, z Pomorza 151, ze Śląska 131, z Saksonii 46, z Westfalii 197, z Hesji 24, z prowincji nadreńskiej 49, z Wirtembergii 54; z Rosyi 83 (naturalnie Niemców, których ztamtąd wydalono); 1653 osadników należy do wyznania ewangelickiego, katolików 131. Wsie Lawau (?), Pirschütz (Pierzchno?), Biechowo-Ossowo, Kaczanowo i Falkenau (?), osadzono katolikami niemieckimi, wszystkie inne kolonie ewangelikami. Uprzywilejowanie ewangelickich Niemców ma swój słuszny powód, zrobiono bowiem doświadczenie; że w ostatnich 40—50 latach spolonizowano licznych niemieckich katolików w Prusach Zachodnich i W. Ks. Poznańskim (statystyk Fircks podaje ich liczbę na 45 tysięcy), podczas gdy ewangelicy Niemcy także w mniejszych grupach w pośrodku polskich okolic zachowali jądro niemieckie nawet w najtrudniejszych warunkach. Największemi koloniami są: Niemieckie Wilkowo (65 osad), Bobrowo (59), Storki (55), Ryńsk (51), Friedrichshöhe (?) (49), Żurawiniec (49), Wielkie Zalesie (45) i Neu-Zedlitz (?) (41).

Do końca 1895 roku zbudowano 66 nowych szkół niemieckich (protestanckich). Ewangelickie zbory w Łubowie, Żernikach i Niem. Wilkowie służą już parafianom. zbory w Grievenhof (?), Strzyżowie i Bukowcu niebawem zostaną poświęcone. Dla Orchowa, Ryńska, Włóściborza i Gryźlina projektowane są budowy kościołów ewangelickich. Nadto otwarto w mniejszych koloniach 11 sal do modlitwy (dla protestantów). Najliczniej rozsiane są dobra komisji kolonizacyjnej w powiatach gnieźnieńskim (15), żnińskim (15), wrzesińskim (12), wągrowieckim (10), brodnickim (8), jarościńskim (6) i witkowskim (6), a więc w powiatach położonych na wschód i północno-wschód od stolicy prowincjonalnej Poznania i między Toruniem a Lubawą, niedaleko od granicy rosyjskiej. W wielu koloniach założone zostały towarzystwa rolnicze i kasy Reiffeisena. W 74 nowych miejscowościach niemieckich mieszka obecnie około 9400 Niemców i 800 Polaków. Ostatni sa po większej części służebnikami i rzemieślnikami.

Dzienniki stronnictwa centrum skarżyły się, że Niemcy katolicy nie korzystają z dobrodziejstw komisji. Postanowiono teraz zadośćuczynić żądaniom katolików i majątek Dębowa Łąka, który komisya niedawno nabyła, ma być rozparcelowany pomiędzy kolonistów z Westfalii. Dla nas sprowadzanie katolików niemieckich nie jest bynajmniej pożądanem, bo przyczynia się pośrednio do germanizacji kościoła. W kościele parafialnym, do którego należy Dębowa Łąka, będą niewątpliwie zaprowadzone dla tych przybyszów nabożeństwa niemieckie. W ostatnich czasach zaczynają Niemcy gorliwie zakładać spółki zarobkowe i pożyczkowe, zwłaszcza kasy systemu Reiffeisena. Zakładają je rolnicy, pastory, nauczyciele, a popierają władze i osoby wpływowe, które z łatwością wyrabiają im kredyt w berlińskiej kasie centralnej dla spółek. Nawet w okolicach czysto polskich

powstają niemieckie kasy reiffeisenowskie i jedną sobie wielu członków. Poruszono tę sprawę na ostatnim sejmiku naszych spółek pożyczkowych, ale jednostronnie, nie oświetlono jej należycie. W ciągu dwóch lat ostatnich założyli Niemcy w powiecie babimojskim 17 kas reiffeisenowskich z ograniczoną poręką, a oprócz nich istnieje tam 30 spółek niemieckich z poręką nieograniczoną. Liczba naszych spółek bardzo powoli wzrasta, bo nieuzasadniona niechęć do kas systemu Reiffeisena powstrzymała ich rozwój. Z współzawodnictwem niemieckiem nasze spółki dziś już poważnie liczyć się muszą, a zachęcanie do składania depozytów nie jest w danym wypadku środkiem wystarczającym. W 96 spółkach naszych mamy dziś 16 milionów marek depozytów, świadczy to niewątpliwie o ich solidności i o gorliwych zabiegach patronatu, ale ile depozytów polskich znajduje się w spółkach niemieckich?

Kuryer poznański ogłosił odezwę do czytelników, którą *Dziennik* powtórzył i poparł — żeby dopomogli do ułożenia statystyki szkolnej, odpowiadając na następujące pytania:

ile w której parafii jest szkół e.ementarnych, czy katolickich, czy ewangelickich, czy symultannych, ilu w nich nauczycieli, jakiego wyznania i narodowości, czy się w tej szkole dzieci uczą po polsku na stopniu średnim,

ile dzieci z tej nauki korzysta, w jakim języku uczą religii?

кто jest inspektorem szkolnym powiatowym, kto miejscowym itd.

Statystyka taka, chociaż nie może być dokładną, byłaby niewątpliwie bardzo dla nas użyteczną, bodajby dla tego, że pozwoli porównać ile dzieci uczyło się po polsku przed »dobroczynnym« ugodowym reskryptem, wyjednanym przez p. Kościelskiego, a ile uczy się dzisiaj. Tę statystykę porównawczą obiecuje opracować *Gońiec* i wykazać naocznie na tym przykładzie skutki obłędu ugodowego.

Kiedy już mowa o statystyce, zaznaczę, *Tageblatt* tu-tejszy niepokoi fakt szybkiego wzrostu ludności katolickiej w Poznaniu. Oblicza on, że w ostatnim dziesięcioleciu przybyło 2638 katolików, przeważnie Polaków. W tym samym okresie czasu wyniosło się z Poznania przeszło 1000 żydów i 581 ewangelików i wyraża obawę, że jeżeli tak dalej pójdzie, za kilkadziesiąt lat Poznań będzie znów miastem przeważnie polskim.

Ciekawą korespondencję zamieścił *Gońiec* o stosunku do ruchu socjalistycznego tego odłamu opinii publicznej, który reprezentuje pismo, wydawane przez p. Rzepeckiego. Korespondent słusznie twierdzi, że »sprawy tej milczeniem ubić się nie da«, zaznacza że pisma nasze informowały społeczeństwo o ujemnych stronach ruchu socjalistycznego, nie wykazując wcale dodatnich, przyznaje, że pierwsi przywódcy polskich socjalistów w zaborze pruskim »nie odznaczali się szerszym poglądem na stosunki społeczne« i nie mieli wpływu, ale dziś robotnicy polscy utrzymują swoją gazetę własnym kosztem i »siły redakcyjne tej gazety, jak na robotników, są wcale dobre, a na niektóre artykuły moglibyśmy się wszyscy bez wyjątku (czytelnicy *Gońca*) podpisać«.

»Uprzedzenie do socjalistów jest powszechne i wielkie, ale to uprzedzenie pochodzi po większej części z nieznamości rzeczy, lub z małodusznych powodów. Śledziliśmy ten ruch pilnie od czasu założenia *Gazety Robotniczej*, z początku z wielką nieufnością, później zniknęło powoli nasze uprzedzenie a chwilowo zdaje nam się, żeśmy główny cel tego socjalistycznego ruchu pojęli.«

Jeżeli idzie o zburzenie porządku kapitalistycznego, to korespondent nie przeciw temu niema, tylko »uspolecznienie własności prywatnej« wydaje mu się niewykonalnem. Po-

ciesza go myśl, że w wolnym państwie socjalistycznym nie byłoby prześladowania religii, ani germanizacji za pomocą szkoły i kościoła, ani różnych Carnapów. Jeżeli socjaliści stanowczo twierdzą, że nie chcą znosić małżeństwa i rodziny, to nie mamy powodu im wierzyć. Z wielką sympatią mówi korespondent o ludziach, »którzy padli na wyłomie, nie zapierając się swych zasad« i podnosi działalność śląskiego robotnika Ligonja, dzielnie i niezmordowanie walczącego z prześladowaniami władz. Zalecając taktkę bezstronności życzliwej względem ruchu socjalistycznego, autor sądzi, że wtedy »socjaliści za daleko się od nas oddalają, przeciwnie, będziemy mogli w danym razie na nich liczyć, jak nad nieszczęściem doświadczonych współbojowników w walce przeciw wspólnemu wrogowi«.

Czy to jest *signum temporis*, zapowiedź jakichś praktycznych usiłowań czy też tylko przygodne wypracowanie korespondenta. W pewnych warunkach nawet wspólne działanie, ma się rozumieć, w ograniczonym zakresie stronnictwa, którego organem jest *Goniec* i żywołów, przedstawiających radykalizm społeczny nie wydaje mi się nieprawdopodobnym. Niewatpliwie, mógłby być chleb z tej mąki, ale po obu stronach nie widzę ludzi, którzyby potrafili ciasto rozczynić i chleb ten upiec.

J. M.

Z GALICJI.

Lwów, 13 grudnia.

Zwołanie Sejmu. Bezsilny gniew *Czasu*. Zadania stronnictwa ludowego. Jeszcze Piotr Wlazło. Wybory powiatowe. Frymarczenie ustawą. Słówko o galicyjskiej młodzieży. Jubileusz Asnyka.

Sejm galicyjski zbierze się 28 b. m. na trzy dni celem uchwalenia prowidoryum budżetowego, wybrania komisji i rozdzielenia referatów. Po trzech dniach sesja zostanie przerwana na tak długo, dopóki rada państwa nie ukończy swoich czynności, co nastąpi prawdopodobnie dopiero w drugiej połowie stycznia. Obrady Sejmu, w tym czasie na nowo podjęte, potrwają zapewne kilka tygodni, a w razie potrzeby przeciągną się może nawet do początków marca, w którym to miesiącu, jak słyhać, rozpisane będą powszechne wybory do parlamentu.

Taki sposób zwoływania Sejmu z przerwami zdarza się nie po raz pierwszy, a jak z jednej strony jest w tem niewątpliwie dowód pewnego lekceważenia kraju ze strony rządu i zarazem niedoświadczenia reprezentacji galicyjskiej w Wiedniu, że nie chce czy nie umie wymusić na sferach rządowych, aby Sejmowi daną była możność spokojnego i prawidłowego zajęcia się przekazanymi mu pracami, tak z drugiej strony stąd, że dyety muszą być posłom wypłacane przez cały czas przerwy, powstaje zupełnie niepotrzebny ciężar dla funduszy krajowych. W każdym razie jednak, gdy na dłuższe, nieprzerwane obrady Sejmu, wobec kolizji z sesją rady państwa, rząd się nie zgodził, Wydział krajowy, uzyskując bodaj krótką sesję przedwstępną jeszcze w roku bieżącym, uczynił dobrze i spełnił swój obowiązek, obronił bowiem i utrzymał w interesie swoim i Sejmu konstytucyjną zasadę, która nie pozwala mu czynić żadnych wydatków bez przyzwolenia Izby ustawodawczej, innymi słowy bez zawotowania przynajmniej prowidoryum budżetowego. Zasada ta jest bądź co bądź ważniejszą niż względy oszczędnościowe, któremi rzekomo powodując się *Czas* wystąpił z sierzdystym artykułem, nie tyle przeciw przerywaniu jak raczej przeciw zwoływaniu sesji sejmowej wogóle przed upływem roku bież. Głos *Czasu* przebrzmiał bez echa i żadnego nie odniósł skutku. Roz-

gniewany widocznie tem, że go nie słuchają, organ krakowskiej konserwy stracił do reszty miarę i już po dokonanym fakcie zwołania Sejmu rozpiął się na ten sam temat ponownie w sposób namiętny i nietaktowny. W braku argumentów, *Czas* wylał bezsilny gniew swój między innymi na marszałka krajowego za to, że tenże z góry ułożył program trzydniowych obrad sejmowych, nie zasięgnąwszy wprawdzie świętego zdania pp. Koźmiana et Cie. Nie wiadomo, czy marszałek krajowy mocno się zmartwił »naganą«, jakiej mu udzielił patentowany organ skrajnego konserwatyzmu za rzecz, praktykowaną stale we wszystkich ciałach parlamentarnych i u nas zresztą od lat wielu. Trudno wszakże powstrzymać się od uwagi, że *Czas* byłby postąpił daleko właściwiej, gdyby zamiast niesmacznych a śmiesznych wycieczek osobistych, był się zwrócił z energicznym wezwaniem do posłów, barwą polityczną do niego zbliżonych, aby zerwali raz przecie z ustaloną niestety tradycją lenistwa i zużytkowali czas dłuższej, przymusowej przerwy na gruntowne przestudowanie spraw i przedłożeń, jakie Wydział krajowy do merytorycznych obrad przygotował. To byłoby przynajmniej bardziej zrozumiałem.

Do posłów ludowych, którzy już w ubiegłej sesji złożyli znakomite dowody pracowitości i sumiennosci w spełnianiu trudnych obowiązków poselskich, podobny apel byłby zbyt czyny. W innym natomiast kierunku posłowie ci powinni skorzystać ze zjazdu i spodziewać się można, że skorzystają. Mamy na myśli konieczne pogłębienie i rozszerzenie programu stronnictwa, które od chwili wstąpienia na widownię życia publicznego w Galicji przebojem zdobyło sobie sympatię, siłę i powagę — objęcie dalszemi kręgami demokratycznej inteligencji i ludu miejskiego, wyjście z ciasnego dziś już, choć usprawiedliwionego w początkach, stanowiska interesów wyłącznie wiejskich, słowem przybranie obszerniejszych szat, bo dotychczasowe są za ciasne na ciało, które się tak potężnie rozrosło. Wskazanem jest również wszechstronne obmyślenie i ostateczne ułożenie kampanii wyborczej do rady państwa, stojącej już za progiem. A w związku z tem, sądzimy, że nie od rzeczy także byłoby odbyć dokładny przegląd swoich szeregów i stanowczo wykluczyć z nich indywidualia »niepewne«, które przed wyborami z pobudek osobistych chętnie udają »ludowców«, a w przyszłości sprawie ludowej wiele szkodzić mogą. Inne, bardziej wyrobione stronnictwa niejednokrotnie przeszły zbytnią na tym punkcie pobłażliwością i poświęcając zasady względem oportunistycznej taktyki, wychowywały częstokroć w łonie swoim przyszłych odstępców. Nie wolno tego czynić stronnictwu ludu, które podjęło walkę przeciw zepsuciu politycznemu na wielką skalę, a choć właśnie z tego powodu, że stronnictwo to młode, »niepewnych« znajdzie się w niem mniej niż gdzieindziej, jednakże zarówno w sferach t. zw. inteligencji ludowej jak i w samym włościactwie wyjątkowo tacy znaleźć się mogą. Rozum polityczny nakazuje pozbyć się tego rodzaju żywołów czemprędzej, dla dobra stronnictwa i sprawy, której ono broni.

Świeżo właśnie zaszedł wypadek, który dostatecznie usprawiedliwia konieczność takiego przeglądu i oczyszczenia. Piotr Wlazło, gospodarz z Liszek pod Krakowem, o którego kandydaturze z kurii gmin wiejskich do rady państwa, wysuniętej przez socjalistów krakowskich przeciw ludowcom, niedawno wspomnieliśmy, ogłosił po kolei trzy, podpisem swoim zaopatrzone oświadczenia, co do treści wprost sprzeczne. W pierwszym — zgodnie z tem, co powiedziało publicznie na wiecu w Czernichowie — twierdził, że jest szczerym ludowcem, że jako taki agitację socjalistyczną po wsiach zwalcza, że kandydować nie myśli. W drugim — wszystkiemu zaprzeczył, a stało się to prawdopodobnie na żądanie p. Daszyńskiego, który, sądząc

po stylu, zdaje się nawet sam to »polityczne« *sui generis* oświadczenie ułożył. Najciekawszym wszakże i najbardziej znamionym jest trzeci dokument, również podpisany przez Włazę, a w treści i stylu, w ortografii nawet, mający wszelkie znamiona wiernej autentyczności. W liście, wyśtosowanym do *Dziennika Krakowskiego*, przedstawił się niefortunny kandydat chłopski socjalistów takim, jakim jest w rzeczywistości. Sens moralny tego przydługiego listu da się wyrazić w słowach: »chcę być wybrany, bom taki sam dobry jak Wójcik, ustąpię, ale niech i on tu ustąpi«. O jakichkolwiek zasadach oczywiście nie ma tu mowy, jest tylko samolubna zawiść najpospolitszego gatunku, podsycana gorliwie przez najnowszych w Galicyi opiekunów ludu wiejskiego. Ponieważ Włazło przy każdej sposobności chełpi się, że mimo to jest szczerym stronnictwa ludowego zwolennikiem i zasiada nawet podobno w ludowym Komitecie przedwyborczym, należałoby przeto, dla zapobieżenia dalszym bałamuctwom, uwolnić się radykalnie od wszelkiego z lichym krętačem koleżeństwa i dopomódz, aby to »Włazło« czempredzę ze stronnictwa — wylazło. Niech przejdzie na wyłączną własność socjalistów, którzy go tak ukochali, — w stronnictwie ludowym jednak nie powinno być miejsca dla indywiduów podejrzaney wartości.

W kilkunastu powiatach odbędą się znowu tymi dniami wybory do rad powiatowych. Ruch ludowy odniesie niewątpliwie szereg dalszych tryumfów. Nie zawadzi też przy tej sposobności zwrócić uwagę na to, w jaki sposób stronnictwo stańczykowskie starało się osłabić zwycięstwa włościan po ostatnich wyborach, odbytych przed dwoma miesiącami. Unieważniano mandaty chłopskie i umniejszono liczbę wybranych »radców« z rozmaitych powodów, głównie jednak padli ofiarą ci z włościan wybrani do rady, którzy równocześnie trudnią się pisarką gminną. Naciągana interpretacja ustawy wyborczej dała przeciwnikom ruchu ludowego do rąk broń, przybraną w pozory słuszności i prawa. Powiatowa ordynacja wyborcza postanawia, że członkami rady powiatowej nie mogą być ci, którym nie przysługuje wybór do rady gminnej, a ordynacja gminna znowuż orzeka, że członkami rady gminnej nie mogą być urzędnicy i słudzy gminy i zakładów gminnych, dopóki w służbie pozostają. Nasuwa się pytanie, czy pisarz gminny jest urzędnikiem lub sługą gminy? Urzędnikiem, w ogólnie przyjętem znaczeniu osoby, głównie z urzędu swego czerpiącej utrzymania. Innemi słowy, czy chłop utrzymujący się z roli, a mający nadto z pisarki 20 do 30 zł. rocznie (taką jest przeciętna płaca pisarzy) zasługuje na nazwę urzędnika, czy też zwyczajnego rolnika, gospodarza? Ale mniejsza o to. Ustawa wyraża się niejasno, czego najlepszym dowodem, że dawniejszemi laty nigdy z tego powodu ważności wyboru nie kwestyonowano. Stało się to dopiero teraz. W powiatach krakowskim, myślenickim i gorlickim konserwatyści ukuli z tego broń przeciw ludowcom, a odnośne starostwa zawyrokowały, że pisarz gminny nie może być członkiem rady powiatowej.

Podobną kwestyę poruszono także w powiecie dąbrowskim, ale o tem do wiadomości publicznej nie zrazu nie doszło. Natomiast rozpyływały się dzienniki w pochwałach dla umiarkowania i zgody, jaka zapanować miała przy wyborze prezydium i wydziału powiatowego w Dąbrowie, chwalono kompromis, zawarty rzekomo między stronnictwem ludowym i partją konserwatywną, podnoszono zasługi p. Męcińskiego, jako inicjatora ugody. Przed kilku dniami dopiero *Pogoń* tarnowska wyjawiała szczegóły załatwienia sprawy. Oto poseł Bojko, który jest wójtem w Gręboszowie, prowadzi zarazem pisarkę w jednej czy dwóch gminach sąsiednich, a choć mimo to sześć lat był już radcą powiatowym, tym razem przeciwnicy ruchu ludowego

postanowili unieważnić jego wybór. Wobec znanych precedensów z innych powiatów można było przypuszczać, że starostwo dąbrowskie uwzględniłoby zarzut nieważności wyboru Bojki, a ponieważ chłopci nie chcieli tracić swego tak dzielnego przedstawiciela w reprezentacyi powiatu, więc powstał stąd kompromis tej treści, że Bojko pozostanie w radzie, jeżeli włościanie zgodzą się na wybór pewnych dygnitarzy powiatowych do prezydium i do wydziału powiatowego. »Tak się też stało — pisze *Pogoń* — a stąd wniosek, że pisarz gminny nie może być radcą powiatowym, jeżeli zachować chce przekonania swoje i głosować podług swojej woli. Na takie zastosowywanie ustaw w żaden sposób zgodzić się nie można, nie można wpajać w ludność przekonania, że ustawa obowiązuje lub nie, według tego, jak to komu dogadza. Nie winimy Bojki, bo on nie był ani inicjatorem ani moralnym sprawcą kompromisu, ale winimy tych konserwatywnych obrońców porządku, którzy dla osobistych ambicyjek zafrymarczyli ustawą. Jeszcze zaś bardziej ubolewać trzeba nad tem, że taki postępek rozgłoszono po gazetach jako wzór godny naśladowania«... Nie w takich zasadach powinno się wychowywać społeczeństwo !..

Skoro już o wychowaniu społecznem mowa, niech mi wolno będzie potraćć bodaj z lekka o temat drażliwy, który z tą kwestyą ściśle się wiąże. Mam na myśli produkt i wykwit społeczno-narodowego wychowania, dzisiejszą młodzież polską w Galicyi, a szczególnie ten jej odłam, który na ławach uniwersyteckich sposobi się dziś do wzięcia czynnego za lat parę w publicznem i politycznem życiu udziału. Nazwałem temat drażliwym, bo o bezstronny i sprawiedliwy sąd w danej sprawie niezmiernie trudno. Sposób myślenia młodzieży, prądy, jakie w niej nurtują, ideały, które przyswiecają zastępom młodego pokolenia, rokrocznie zasilającym się, wszystko to zasługuje raczej na poważne omówienie w obszernem studyum niż na pobieżną, kronikarską wzmiankę. Może też i galicyjska młodzież doczeeka się kiedy podobnie wyczerpującej w *Przeglądzie* rozprawy, jak »Młodzież polska w zaborze rosyjskim«. Nie przesądając wszakże o niczem, pragnę dziś jeno zwrócić uwagę na fakt niewątpliwiej różnicy, jaka co do ogólnego nastroju i dążeń młodzieży galicyjskiej zachodzi między dwoma głównemi ogniskami jej życia umysłowego: Krakowem i Lwowem. Podczas gdy lwowska rzesza obywateli akademickich od szeregu lat stale przy każdej sposobności objawia na ogół przekonania patryotyczne postępowe i przedstawia jakby jeden wielki obóz, pod znakiem demokratycznych haseł narodowych skupiony, — w Krakowie, od dłuższego czasu panują stosunki nienormalne, atmosfera niezdrowa, rozbiecie wśród młodzieży kompletne. Do tego dziś doszło niestety, że to, co przywykliśmy rozumieć pod nazwą młodzieży *polskiej*, ideałami Mickiewiczów natchnionej, w siedzibie Jagiellońskiej wszechnicy prawie weale nie istnieje. Na Mickiewiczowskich obchodach, chlubna tradycja pełnych zapału, polotu i ognia przemówień młodzieńczych, zda się bezpowrotnie zaginęła, zastępuje ją obecnie — koncert c. k. muzyki wojskowej i suchy, często gęsto banalny wykład profesorski. Młodzież krakowska hołduje dziś tylko skrajnościom w dwóch kierunkach przeciwnych: gorętsza jej część zaprzęta sobie głowy abstrakcyami międzynarodówki i praktyczną agitacyą socjalizmu, druga, mniej gorąca przejęmuje się weześnie klerykalnym konserwatyzmem i trójjolałnemi zasadami Koźmianów. Wyjątki, stosunkowo nieliczne, reprezentujące żywioł zdrowszy, kryją się gdzieś i na ogół kolegów widocznego wpływu nie wywierają. Stan taki trudno nazwać pomyślnym, przyczyn zaś jego szukać trzeba niewątpliwie po obu stronach, choć bezwarunkowo przeważa wielka wina tych, którzy mając być z powołania wychowawcami i do pewnego stopnia opiekunami młodzieży, ani jej nie znają,

ani postępować z nią nie umieją. Nie może być zresztą mowy o lepszych objawach tam, gdzie częstokroć zamiast istotnej nauki i bezstronnej wyrozumiałości zasiada na katedrach profesorskich polityczne zacietrzewienie i ciasny pogląd stronniczy...

Nie radbym kroniki dzisiejszej, ostatniej w bieżącym roku, zamknąć tą pesymistyczną uwagą. Data wyjścia numeru *Przeglądu* schodzi się z jubileuszowym dniem Adama Asnyka. Krakowowi przypadnie zaszczyt uczczenia trzydziestodwuletniej twórczości i zasług literackich najznakomitszego z żyjących poetów naszych. Sercem i myślą cała Polska złoży hołd należny Ely'emu. Niechże dostojny Jubilat przyjmie i od nas, którzyśmy na pieśniach Jego wzrosli i doniosłość służby obywatelskiej cenić się nauczyli, wyrazy głębokiej czci i szczerego uwielbienia!

Prawdzie.

Polityka w instytucji naukowej. Od roku 1873 istnieje we Lwowie ruskie Towarzystwo naukowe imienia Szewczenki. Zawdzięcza ono powstanie swe Ukraince, pani Miłoradowicz, która ofiarowała kwotę 9.000 złr. na ożywienie literackiego i naukowego ruchu wśród galicyjskich Rusinów. Za te pieniądze założono drukarnię, już w pierwszych latach atoli zatarł się naukowy charakter instytucji, wspieranej zresztą wcale hojnie przez św. p. Szuszkiewicza, Kaczałę, Ukrainca Żuczenkę i innych. Przez dłuższy czas Towarzystwo wydawało jedynie *Prawdę*, a dla nauki w ścisłem tego słowa znaczeniu, po za ogłoszeniem dwóch prac śp. Ogonowskiego o »Pułku Igora« i o języku ruskim zdziałało bardzo niewiele. Drukarnia rozszerzyła się dopiero z chwilą, gdy »narodowcy« wystąpili z żywszą akcją polityczną, gdy Romańczuk w 1871 roku założył *Batkiwsczynę*, Barwiński *Dilo*, a ś. p. Partycki *Zorję*. Były to wprawdzie wydawnictwa prywatne, »zwykły jednak ruski sentymentalizm«, jak się *Kurjer Lwowski* wyraża, uważał je niejako za instytucje narodowe, i Towarzystwo drukowało te pisma przez szereg lat bez przerwy z stałymi stratami. Najdotkliwiej odczuwać się dawał dług *Dila*, który w r. 1893 wzrósł do poważnej cyfry 8.000 złr. (Ciekawy dowód żywotności i poczytności politycznych pism ruskich). Zarząd instytucji, nie widząc innej rady, już wtenczas część tego długu odpisał spółce wydawniczej *Dila*, zastrzegając zarazem regularne spłaty na przyszłość. Tymczasem spółka warunków nie dotrzymała i dług rósł znowu. Wobec tego Wydział Towarzystwa niedawno wy-mówił *Dilu* druk z dniem 1. stycznia 1897 i uchwalił postąpić tak samo z dwoma innymi pismami politycznymi które się w drukarni im. Szewczenki również wytłaczają, mianowicie z *Batkiwsczyną* i *Prawdą*. Bezpośrednim powodem tej uchwały miało być kategoryczne oświadczenie wiceprezydenta Rady szkolnej Bobrzyńskiego, że odbierze Towarzystwu druk, (nawiasem mówiąc wcale rentowny) ruskich książek szkolnych, jeżeli nadal fundusze instytucji marnowane będą na bezcelowe popieranie dychawicznych organów ruskiej polityki, niemniej uzasadniona obawa, że z tej samej przyczyny Towarzystwo lekkomyślnie pozbawić się może zasiłków, dawanych w rocznej kwocie 2.500 złr. przez Sejm, a 2.000 złr. przez rząd na podjęte w ostatnich latach, istotnie naukowe i cenne wydawnictwa »Zapisek« i »Zródeł«. (Towarzystwo ogłosiło dotąd 14 tomów »Zapisek«, dwa tomy »Zbioru etnograficznego«, dwa tomy *Monumenta historiae ruthenicae*. Druga uchwała Wydziału dążyła do podniesienia powagi Towarzystwa i nadania mu charakteru bardziej naukowego, niż miało dotąd. Ponieważ statut dotychczasowy nie czynił żadnej między

członkami różnicy co do stopnia ich inteligencji, a przeto częstokroć, jedynie na podstawie uiszczonej wkładki, ży-wioły, z nauką nic nie mające wspólnego, wywierać mogły wpływ niepożądany i ujemny na naukową stronę działalności Towarzystwa, Wydział postanowił wprowadzić podział członków na »zwyyczajnych« i »rzeczywistych«. Pierwsi, opłacający wkładkę, pozbawieni tylko decydującego głosu w sprawach naukowych, korzystać mieli nadal z wszelkich wydawnictw instytucji, oraz praw czynnego i biernego wy-boru, tudzież wykonywać kontrolę administracyjną, — drugich, od wkładki uwolnionych, na wnioszek sekcji miano-wać miał Wydział z pośród ludzi mniej lub więcej znanych z poważnej pracy na polu historii, literatury i innych ga-łęzi wiedzy. W ten sposób dokonać się miało stopniowe przekształcenie Towarzystwa w instytucję, jakiej Rusini dotąd nie posiadają, podobną do Akademii umiejętności.

Niestety, obie powyższe uchwały, na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu odbytem 8. b. m. spotkały się z za-ciętą, zorganizowaną opozycją i po bardzo burzliwych kilku-godzinnych obradach — upadły. Na czele opozycji stanęli redaktorowie zagrożonego w swym bycie *Dila*, a pospieszyli im z pomocą, w imię jakiejś »wyższej« polityki, pp. Romańczuk, Teliszewski i inni. Nad wnioskami Wydziału zgromadzenie większością kilkunastu głosów przeszło do porządku dziennego i uchwaliło pozostawić w drukarni To-warzystwa *Dilo* i *Batkiwsczynę*, wyrzucić natomiast organ p. Barwińskiego *Prawdę*. Tem samym stało się także za-dosć — sprawiedliwej bezstronności. Odrzucono również pro-jekt statutu, mimo wymownych przedstawień najpoważniej-szych członków Towarzystwa. Wobec takiego wyniku wszyscy członkowie Wydziału złożyli mandaty, między nimi poseł Barwiński, prof. Hruszewski, prof. Gromnicki, Ko-cowski, Makarewicz, dr. Franko, Kolessa, Studziński, Pańkowski.

W ten sposób p. Romańczuk wspólnie z swym orga-nem przybocznym dokonał za jednym zamachem trzech czy-nów bohaterskich: 1) przedłużył o kilka miesięcy żywot »je-dynego niezawisłego (!) pisma ruskiego w Galicyi«, za jakie uznano *Dilo* (a o to właśnie chodziło), 2) Towarzystwu, mającemu służyć nauce, odebrał wszelkie cechy instytucji naukowej i 3) podkopał jego istnienie, dokładając usilnych starań, aby subwencje, zapewniające Towarzystwu byt i możność naukowej pracy, zostały bezpowrotnie cofnięte. Już to talentu burzenia politycznym prowodyrom galicyjskich Rusinów odmówić niepodobna.

Z KRESÓW.

Cieszyn, w połowie grudnia.

Agitacya przedwyborcza. — Centralny komitet wyboreczy w Cie-szynie. — Towarzystwo polityczno-chrześcijańskie. — Jubileusz czytelnicy skoczowskiej. — Postępy germanizacyi. — Paster Fol-wartsehny. — Brak polskich adwokatów. — Katolickie kółka rolnicze. — Ważnie wyznaniowe. — Czytelnia ludowa w Cie-szynie. — Zawiedzione nadzieje.

Od paru miesięcy wstąpiliśmy w okres agitacyi przed-wyborczej. Rozpisanie nowych wyborów do rady państwa nastąpi według wszelkiego prawdopodobieństwa w końcu marca lub w kwietniu. Kurya powszechna, z której księstwo cieszyńskie wysyłać ma do parlamentu jednego posła, po-wołała do akcji i te żywoły, które dotychczas nie były bezpośrednio w tem zainteresowane, nie miały bowiem prawa głosowania. Rzesze proletaryatu fabrycznego, kopal-nianego i rzemieślniczego, jak niemniej pracującego w rol-

nictwie i gospodarstwie leśnym, dotąd przy wyborach na uboczu stojące, zostały przez reformę wyborczą wciągnięte w wir życia politycznego i dzięki temu stały się przedmiotem zabiegów różnych stronnictw, które do tego czasu nie o nich wiedzieć nie chciały.

Zarzucają socjalnej demokracji, że rości sobie wyłączne prawo do kuryi powszechnej, że dąży do tego, aby wszystkie z niej mandaty przypadły w udziale jeśli nie socjalnym-demokratom, to przynajmniej robotnikom. W Galicyi, gdyby nawet rzecz tak stawali, przy słabym rozwoju przemysłu w tym kraju, byłoby to marzeniem, długo jeszcze niemożliwym do ziszczenia. W ks. cieszyńskim jednak, gdzie ludność z przemysłu żyjąca szybko zbliża się do 50% ogółu zaludnienia, sprawa ta przedstawia się całkiem odmiennie. Tu socjaliści mają poniekąd prawo żądać, aby jedyny na całe księstwo poseł z kuryi powszechnej był przedstawicielem robotników, specjalnie bronił ich interesów, a nawet z tej klasy pochodził — jeśli wogóle można tak się odzywać w kwestyi, której wynik zależy głównie od ilościowego ustosunkowania się głosów przy wyborze. A ten stosunek niewiadomo jeszcze jak wypadnie. Jeśli do ludności w przemyśle zatrudnionej doliczymy wszelkie inne kategorie proletaryatu, to się okaże, że warstwa mniej lub więcej uprzywilejowanych nie-robotników spadnie do jakich 30%.

O żadnych prawach wyłącznych tej lub owej partyi do mandatów z kuryi 5-ej mowy być nie może, ale zaznaczyć trzeba, że socjalna-demokracja była dotąd jedynym tutaj stronnictwem, które od lat kilkunastu opiekowało się jak mogło i umiało, losem robotnika, że dopiero przed kilku laty nowy zjawiał się czynnik uświadamiający — w osobie ks. Stojałowskiego, z przesiedleniem się jego do Cieszyna. Z innych partyi liberali niemieccy nigdy nie wspólnego z proletaryatem mieć nie mogli, narodowcy niemieccy dopiero w ostatnich latach zaczęli agitować, ale tylko pomiędzy warstwą rzemieślniczą, w duchu antysemitki, narodowcy zaś zarówno czescy jak polscy żadnej absolutnie akcyi wśród proletaryatu nie prowadzili, poza kilkoma czytelniami, które wśród górników wpływu najmniejszego nie miały.

Wobec tego nie można się też dziwić (nawet spodziewać się należało), że stronnictwo socjalno-demokratyczne obecnie najenergiczniejszą rozwinęło akcyę celem pozyskania dla siebie jaknajwiększej liczby zwolenników. Krząta się więc ono, na ile mu środki pozwalają, agitując nietylko pomiędzy ludnością fabryczną, ale też i wśród ludu wiejskiego, urządzając zgromadzenia, na których socjaliści rozdają broszury i gazety partyjne. Niedawno n. p. odbyło się takie zgromadzenie we wsi Wiśle, gdzie propaganda socjalistyczna poraz pierwszy obita się o uszy górali beskidowych. Co tam sobie o tem opowiadali bogatsi gazdowie, nie wiemy, ale że proletaryat tamtejszy, w lasach komory arcyksiężęcej pracujący, życzliwie przyjął nieznanych dotąd agitatorów, to fakt, którego zatajać nie potrzeba. Ludzie ci, z poranionymi członkami, ze łzami w oczach skarżyli się na wyzysk komory, która im za ścinanie drzew płaci na akord takie ceny, że robotnik w ciągu całego dnia pracy może zarobić 40 centów, w razie zaś kalectwa nie ma dostatecznego, chroniącego od nędzy, zaopatrzenia.

W takich warunkach, jakie tu panują wśród proletaryatu, nie potrzeba wcale agitatorów socjalistycznych, aby wywołać niezadowolenie i poszukiwanie dróg i środków, mogących doprowadzić do poprawy bytu. W tym roku przybył socjalnej demokracji nowy sprzymierzeniec w postaci wielkiej biedy wśród ludności rolniczej, nawet średnio zamóżnej, w następstwie mokrego lata i nieurodzaju. Prawie całe księstwo klęską tą dotknięte zostało, w niektórych okolicach przepadło zupełnie 80% zbiorów, przeciętnie zaś 60%.

Na odbytem tutaj 10 października zgromadzeniu »Związku śląskich katolików« dr. Kreisel obliczał, że w piątej (powszechnej) kuryi może zyskać najwięcej głosów kandydat konserwatywno-narodowy, mniej będzie miał liberalny, a jeszcze mniej socjalistyczny. Trudno prorokować na kilka miesięcy przed wyborami, ale zwycięstwo kandydata narodowego jest możliwe, zwłaszcza jeśli się zważy trudności, stawiane przez władze agitacyi socjalistycznej; tak n. p. w powiecie frysztackim, gdzie socjalizm stosunkowo najwięcej ma zwolenników, zarządzania tamtejszego starostwa pro prostu uniemożliwiły urządzenie zgromadzeń, na co skarżono się w Wiedniu za pośrednictwem Pernerstorfera.

Nazwisko kandydata socjalistycznego dotychczas nie zostało ujawnione; kandydatem partyi niemiecko-liberalnej jest dr. Pawlica z Wiednia, rodowity Ślązak, który nagle przypomniał sobie niwy ojczyste, objeżdża gminy i agituje na swoją korzyść. Dr. Kreisel z Jabłonkowa, który tak fatalnie przepadł przy tegorocznych wyborach do sejmu z kuryi miejskiej, prawdopodobnie przez narodowców polsko-czeskich będzie popierany, na paru zgromadzeniach wygłaszał program chrześcijańsko-socjalny, chociaż dotychczasowa jego działalność w niczem nie zdradzała tego socjalizmu chrześcijańskiego.

Pod opieką »Związku śl. katolików« jeszcze w październiku utworzył się centralny komitet wyborczy w Cieszynie, który następnie miał utworzyć komitety powiatowe. Niedołężnie to idzie nad wyraz, ale bądź co bądź zrobiono coś w tym kierunku. U ewangelików narodowców dotąd cisza... Tymczasem drobne mieszczaństwo niemieckie, dotąd tak ospałe i liberalnemu stronnictwu całkiem uległe, ruszać się jakoś zaczyna. W drugiej połowie listopada założono w Cieszynie nowe towarzystwo polityczno-chrześcijańskie, które ma na celu złamanie klki żydowsko-liberalnej i przeprowadzenie swoich kandydatów do rady miejskiej, sejmu i parlamentu. Prezesem tego towarzystwa został wybrany p. Leopold Lewiński, Niemiec, kupiec z powołania. Członkami są przeważnie drobni kupcy, przemysłowcy i rękodzielnicy, którym żydowska hegemonia i zależność od wielkiego kapitału zbyt doskwiera poczyna. Reakcyja to całkiem zresztą naturalna. Sprzyja temu ruchowi i tutejsze duchowieństwo katolickie, które dotychczas w osobach niektórych swoich przedstawicieli kokietowało liberałów.

W połowie listopada czytelnia katolicko ludowa w Skoczowie obchodziła uroczystość 25 letni jubileusz. Jest to jedna z najstarszych tutaj instytucyi tego rodzaju: w Jabłonkowie czytelnia powstała na rok przed tem, w Cieszynie w r. 1861. Jak niemal wszystkie i skoczowska czytelnia zbyt wielkim blaskiem nigdy nie świeciła, a w ostatnich latach nawet chyliła się ku upadkowi. Musi tak być w mieście, gdzie niemczyzna bierze górę, a polskość trwoźnie ustępuje jej z drogi, gdzie istniejące dwie szkoły (ludowa i przemysłowa), są czysto niemieckie. Uroczystość jubileuszowa jednak miała charakter wybitnie polski, co kilku gości z Galicyi mogło skłonić do przyjemnych, ale zupełnie z istotnym stanem rzeczy niezgodnych żłudeń. Po odegraniu paru sztuk przez amatorów z Jabłonkowa, po wykonaniu przez kapelę z Zabrzega kilku narodowych utworów i odśpiewaniu przez »Lutnię« z Ustronia całego »Wienca pieśni polskich«, nastąpił obraz żywy, przedstawiający »geniusz Polski w okowach, rozpościerający swe skrzydła i błogosławiący swe dzieci z 3 zaborów i najdawniejszej siostrzycy piastowskiej Śląska...«, który poruszył wszystkich do łez i zrobił ogromne wrażenie. Szkoda tylko, że nie długo wrażenie to trwać będzie; przyjdą wybory do rady państwa na wiosnę i wielu z tych, co rozczulali się widokiem Polski w okowach, odda swe głosy na Niemców. Mówię to nie przez złośliwość bynajmniej, ale na podstawie obserwacyi i doświadczenia.

W roku 1895 podobną uroczystość obchodziła czytelnia ja-
błonkowska, również patryotyczny nastrój tam panował, co
nie przeszkadzało wcale, że w rok potem wszyscy członko-
wie czytelnicy głosowali na liberała Zwillinga. Ale »tu już
tak jest« — jak mówi jeden z posłów śląskich.

Germanizacja szerzy się na dobre, pomimo tu i ówdzie
urządzanych obchodów patryotycznych, szerzy się po cichu,
podstępnie, bez tego hałasu, jaki na Śląsku pruskim jej to-
warzyszy. Oto parę przykładów z dni ostatnich. Że urzędy
gminne z władzami korespondują stale po niemiecku, to już
rzecz zwykła; i tępiąc ich za to nie można, bo cóż w tak-
kim razie należałoby zrobić z zarządami naszych towarzystw
narodowych, które tak samo postępują?... Ale również nie
do wyjątków należy, że gminy całkiem polskie znoszą się
z sobą po niemiecku. Oto niedawno wójt Polak z czysto
polskiej gminy Harbutowice, gdzie na 317 Polaków jest za-
ledwie 7 Niemców, a w tem aż 4 żydów, do równie pol-
skiej gminy pisze »Vom Gemeindevorstande Harbutowitz«
itd. Ludność w tej gminie w połowie katolicka, w połowie
ewangelicka. Nie lepiej jest w czysto katolickich gminach.
Niedawno umarł ks. Matulski, Polak z Galicji, proboszcz
parafii w Łąkach pod Frysztatem, gdzie na 1081 ludności
polskiej liczono w r. 1890 Niemców zaledwie 28, w tem
żydów 10. Mimo to zawiadomienia o śmierci i pogrzebie
wydrukowano po niemiecku — za czyją sprawą, nie mo-
głem się dowiedzieć. *Gwiazdka* wprowadzie dość ostro fakt
ten skarciła, ale bez wymienienia winowajcy, którym być
musiał, jeden z księży frysztaeckich....

W końcu września na cmentarzu w pośredniej Suchej
polska młodzież akademicka należąca do stowarzyszenia
»Znicz« uczciła 10-tą rocznicę śmierci jednego ze swoich
kolegów przemówieniami w duchu patryotycznym i odśpie-
waniem „Boże coś Polskę“. Obchód ten nie podobał się
ewangelickiemu urzędowi parafialnemu w Błędowicach do
tego stopnia, że wystosował do prezbiterstwa cmentarnego
pismo, w którym zwraca uwagę na niewłaściwość urzędza-
nia na cmentarzu uroczystości z charakterem »politycznym«
i kończy życzeniem, aby »cmentarze tylko na takie cele
używane były, które przeznaczeniu ich religijnemu od-
powiadają«, a »na przyszłość w wypadku podobnym będzie
należało programu zażądać«. Na tym dokumencie podpisał
się pastor Hugo Folwartschny, rodowity Ślązak. Gmina
Błędowice Dolne, w której ten pan spełnia urząd duszpa-
sterski, w roku 1890 liczyła 1919 Polaków, a tylko 39
Niemców, w tem 29 żydów. Piękny on musi wpływ wy-
wierać na swoich parafian! *Przyjaciel ludu*, piśmko ewan-
gelićkie, redagowane przez pastora Michejdę, nadspodziewa-
nie odważną dało mu odprawę, co wszakże na p. Folwart-
schnego zbyt silnie nie podziła. Ci pastrowie, czujący
za sobą dra Haasego, trzymają się niemieczyzny, jak pijani
płotu. Rzecz dziwna, że 25-letnia działalność pastora Ma-
chejdy »w duchu narodowym«, jak przyjęto mówić, nie
zdołała ani jednego z jego towarzyszy zawodu odciągnąć
do partii liberalno-niemieckiej i przerobić na dobrego na-
rodowca. Dotychczas pastor Franciszek Michejda z bratem
swoim, pastorem z Bystrzycy są jedynymi przedstawicielami
swego stanu w obozie polskim. Nawet pastrowie zboru cie-
szyńskiego, Pindor, autor kilku książek religijnych w języku
polskim, i Żlik, członkowie ewangelickiego Towarzystwa
oświaty ludowej, oraz Czytelnia ludowej w Cieszynie, są
w gruncie rzeczy — Niemcami. Obaj oni, gdy wyjdą na
przechadzkę poza miasto, okoliczną ludność czysto polską
pozdrawiają po niemiecku. I niżej podpisanemu zdarzyło się
pewnego razu, że jeden z tych pastorów pierwszy za-
szczylił go słowami »Gut'n Morg'n«, na co otrzymał w od-
powiedzi »Moje uszanowanie panu pastorowi«, czem był
dość niemile zdziwiony.

Niedawno w cieszyńskiej *Silesii*, niemiecko-liberalnym
organie, pomieszczono notatkę p. n. »Polscy adwokaci
w miastach niemieckich« gdzie z powodu jakiegoś odosob-
nionego faktu, iż adwokat Polak w Białym wniosł dla strony
niemieckiej podanie do sądu po polsku, wezwano ludność
niemiecką, aby udawała się o pomoc prawną tylko do adwo-
katów Niemców, co właściwie znaczy żydów, gdyż pomiędzy
adwokatami niemieckimi jest tutaj co najmniej $\frac{3}{4}$ żydów;
tak jest n. p. we Frysztacie, gdzie oprócz notaryusza Polaka,
jest adwokatów czterech, w tem 3 żydów, jeden Niemiec.
Stosunek pod tym względem jest najgorszy w Bielsku, gdzie
adwokatami są niemal wyłącznie żydzi. *Gwiazdka*, pisząc
o tem, mówi, że »u nas na Śląsku adwokaci z małymi wy-
jątkami piszą do sądów wszystko po niemiecku«, ale nie
dodaje, że tak postępują i polscy adwokaci i notaryusze.
Tymczasem wiedzą tu o tem wszyscy, że panowie ci, na-
wet »patryoci« z Galicji, zamiast ściągać do kancelaryi
swoich pomocników Polaków, biorą Niemców i o polski język
nie wiele dbają, wskutek czego zdarza się, że notaryu-
sze i adwokaci Niemcy ekspedują do urzę-
dów i sądów więcej dokumentów w języku
polskim, aniżeli Polacy, a to dlatego, że chcą lud-
ność polską ku sobie przychylnie usposobić. Tam zaś,
gdzie adwokatem jest dobry Polak, lud nasz oczywiście woli
jego, niż Niemca lub żyda, ale takich bodaj czy dwóch się
znajdzie. Polecamy to pamięci młodych adwokatów polskich
w Galicji, pomiędzy którymi przecież powinno się znaleźć
paru niemalowanych patryotów-ludowców, coby potrafili tu
godnie i z korzyścią dla siebie reprezentować sprawę narodową.

Dnia 30 listopada odbyło się tutaj w domu katolickim
zgrupowanie delegatów »katolickich kółek rolniczych wraz
z czytelniami« celem zorganizowania tych luźnych całkiem
stowarzyszeń w jeden związek. Nieznającym stosunków tu-
tejszych może wydać się to dziwnem, że istnieją jakieś
kółka rolnicze katolickie, jak gdyby można było uprawiać
rolę »po katolicku« lub »ewangelicku« ale tutaj dzieje się
wiele innych dziwnych rzeczy. Zjawisko istnienia odrębnych
»katolickich« kółek rolniczych tem się tłumaczy, że zało-
żone tu jeszcze przed 28 laty »Towarzystwo rolnicze« nie
zdołało sobie pozyskać sympatyj ludności katolickiej, a wyjąt-
cza księży, podobno z tego powodu, że prowadzone głównie
przez ewangelików nierównomiernie popierało interesy obu
wyznań, odstręczając katolików jakimś specyficznym »sob-
kownstwem ewangelickim«. Dobrą charakterystykę tych sto-
sunków znajdujemy w broszurze Warszawiaka »Ze spraw
śląskich«. Tak czy inaczej, dość że większość kółek wśród
ludności katolickiej istniejących, do towarzystwa tego nie
należy i chodzi sobie luzem. Otóż teraz powstała myśl zje-
dnoczenia ich, nie znalazła jednak wielkiego widać uznania,
skoro na owo zgromadzenie tylko 8 kółek przysłało swoich
delegatów z liczby zapewne około dwudziestu, bo nawet nie
wiadomo nikomu, ile ich naprawdę istnieje.

Po zagajeniu zabrał głos p. Sztwiertnia z Kisielowa
i imieniem Wydziału Towarzystwa rolniczego, jako jego de-
legat, zaproponował, aby katolickie kółka przystąpiły do To-
warzystwa rolniczego. W odpowiedzi na to, kilku mówców
wykazywało, iż propozycja ta jest »co najmniej spóźniona«,
dalej odpierali postawiony zarzut, jakoby zamierzone połą-
czenie się kółek było rozdrabnianiem sił narodowych, po-
nieważ przyszłe towarzystwo (zapewne »katolickie«) praco-
wać będzie równorzędnie obok istniejącego już Towarzystwa
rolniczego dla wspólnych celów, wreszcie wypowiedzieli prze-
konanie, że tłumne przystępowanie do jakiegokolwiek towarzystwa
celem osiągnięcia w niem większości jest niegodnym »wal-
lenrodzizmem«, którego katolickie kółka nie popełnią.

Rozłam pomiędzy katolikami i ewangelikami istnieje
już od lat wielu i przejawia się we wszystkich niemal to

warzystwach ogólnonarodowych, na wszelkich polach pracy społecznej. Były czasy, że stosunki pomiędzy dwoma wyznaniem były bardzo zastrzone i stawały się przyczyną ogólnej klęski narodowej, jak n. p. w r. 1879, gdy wskutek nieporozumień w stronnictwie narodowym jedynym posłem do rady państwa z kurii gmin wiejskich wybrany został Niemiec Obratschaj. Nie będę rozstrzygał, kto temu winien, prawdopodobnie obie strony grzeszyły i grzeszą, powiem tylko, że lud sam najmniej można winić, bo fanatyzmu szczególnie w nim niema, a wszelkie spory i zajęcia wywołuje kilkanaście jednostek fanatycznych i samolubnych z pośród ludzi, którzy stoją na czele ruchu.

Od pewnego czasu niezgoda religijna złagodniała, nie została jednak radykalnie usunięta, tylko za wzajemnym porozumieniem przywódców »zarzewie jej zostało pokryte warstwą popiołu«. W takim położeniu nie potrzeba wiele, aby walka rozgorzała na nowo. Kto pilnie przegląda prasę miejscową obu wyznań, ten łatwo dostrzeże, że od czasu do czasu to z tej, to z owej strony wysuwają się żądła. O *Nowym Czasie* nie wspomina, bo jego stanowisko wrogie polskości znanem jest, jak niemniej nienawiść zjadliwa do katolicyzmu, ale przed paru laty i *Przyjaciel ludu* często dogryzał katolikom, dopiero w ostatnich czasach bardzo się usatkwował, ale za to *Gwiazdka cieszyńska*, która dotąd najczęściej milczeniem zbywała wszelkie zaczepki, teraz uroszczeniem ewangelickim coraz bardziej oponuje.

Jednym z objawów tego zwrotu w łonie redakcyi *Gwiazdki* bezwątpienia jest fakt następujący. W roku zeszłym w listopadzie postawiono na cmentarzu katolickim w Cieszynie nagrobek marmurowy Stalmachowi, który na łożu śmiertelnym przeszedł na wyznanie katolickie. Stronnictwo polsko-ewangelickie, które walczyło z nim ciągle za życia, fakt, jak wiadomo, wielce oburzył. Pomiędzy ofiarodawcami na pomnik był zaledwie jeden ewangelik, i to nawet nie ze Śląska, lecz z Galicyi. Wobec takiego nastroju wśród ewangelików względem oddania hołdu pamięci i zasługom Stalmacha, przepisy słomianej zgody nakazywały redakcyi *Gwiazdki* unikać wszystkiego, coby narodowcom ewangelickim przypominało tego znienawidzonego męża. Tem się tłumaczy, że podczas uroczystości otwarcia gimnazjum polskiego w d. 10 października r. z. ani słówkiem o zasługach Stalmacha nie wspomniano, a przecież on był założycielem »Macierzy szkolnej« i piastunem idei gimnazjum! Dla tych samych powodów t. j. aby nie drażnić ewangelików, nagrobek postawiono mu cichaczem, nie tylko żadnej uroczystości nie było, ale nawet najmniejszej wzmianki o tem w *Gwiazdce* nie wydrukowano. I oto naraz, po upływie roku z górą *Gwiazdka cieszyńska* w nrze 49 z d. 5 b. m. zamieszcza wiadomość, że na grobie ś. p. Pawła Stalmacha postawiony został pomnik, ale, jako pismo uczciwe, nie chcąc kłamać, zamilcza szczegół, kiedy mianowicie fakt ten zaszedł.

Dla ludzi, którzy trzymają dłoń swoją na tętnie tułejszego życia, drobny ten szczegół ma symptomatyczne znaczenie. Jest on dowodem, że ta słomiana zgoda pomiędzy dwiema facyjami wyznaniowymi rwać się już zaczyna. I nic dziwnego nie będzie, jeśli powróśla tej zgody pęknięta wkrótce zupełnie. Nie można nic trwałego zbudować na warunkach takich, jakimi chciano utrzymać tę zgodę. Zawieszenie broni jest zawsze środkiem tymczasowym, chwilowym, kto chce trwałego pokoju, ten musi zawrzeć przymierze, na wzajemnym szacunku i zaufaniu oparte. Postępowanie n. p. pewnej grupki narodowców ewangelickich w łonie Czytelni ludowej w Cieszynie oddawna zasługowało na potępienie, tymczasem *Gwiazdka* dla miłego spokoju, aby ewangelików nie drażnić, nie chciała od śmierci Stalmacha wydrukować ani słówka krytyki. Po raz pierwszy dopiero w numerze ostatnim znajdujemy apostrofę, skierowaną pod adresem tej

słabo wegetującej instytucyi, tej »macierzy naszych towarzystw narodowych« jak ją szumnie nazywają niektórzy.

Apostrofa powyższa wywołana została wieścią, jakoby Niemcy w Cieszynie mieli otworzyć w tych dniach niemiecką bibliotekę ludową, w połączeniu z bezpłatną wypożyczalnią książek. »Nie wątpimy — pisze *Gwiazdka* — że Polacy nie będą z niej korzystać, ale znowu musimy przypomnieć, że czas byłby zabrać się do prawdziwej i wspólnej pracy. Bezpłatna wypożyczalnia książek »Związku śl. katolików« robi, co może, ale ma za mały zapas książek, aby mogła działać, jakby należało. Niechże więc to założenie niemieckiej czytelnicy obudzi energię w Czytelni ludowej polskiej, która przecież posiada za sobą bibliotekę i mogłaby zdziałać wiele dobrego przez założenie bezpłatnej wypożyczalni książek«

Od siebie dodajemy, że Czytelnia ludowa posiada blisko 20.000 tomów, zresztą dokładnej cyfry nikt podać nie może, bo niema dotąd katalogu. Ogromny ten księgozbiór powstał z darów prywatnych, od osób z całej Polski. Bezpłatna zaś wypożyczalnia »Związku śl. katolików« ma dzieł zaledwie 300—400 i funkcjonuje dopiero od roku. Z zasobów Czytelni ludowej korzystać prawie nikt nie może, wypożyczalnia »Związku« zaś daje książki, o ile są, każdemu, kto się zgłosi. Dla charakterystyki stosunków tutejszych nadmieniamy, że zarządzającym tej wypożyczalni jest p. Polaczek, redaktor odpowiedzialny *Gwiazdki*, który dla braku czasu prawdopodobnie wkrótce będzie musiał obowiązków tych zrzec się i pozostawić wypożyczalnię opiece.... błóg. Jana Sarkandra, ponieważ z osób dotychczas nie kanonizowanych nikt zająć się nie zechce. Jest wprawdzie kilkadziesiąt osób, należących do inteligencji polskiej w Cieszynie, ale ta jest intrygami koteryjnemi zdemoralizowana lub dla sprawy oświaty ludowej obojętna.

Ale przecież, powiecie czytelnicy, jest już dość liczne grono nauczycielskie przy gimnazjum polskiem, czyż w niem nie znajdzie się ktoś, coby się tego podjął? O tak, mamy już oprócz dyrektora p. Parylaka sześciu profesorów, są między nimi i starzy i młodzi, ale możemy z góry zapewnić, że żaden z nich do tego się nie weźmie. Pamiętamy, że p. Parylak długi czas się wzdrygał mieć odczyt w Czytelni ludowej, bo bał się, żeby go nie posadziły władze o agitacyą polską; duch dyrektora spływa drogą naturalną na ciało nauczycielskie i dotąd z tych kilku ludzi sprawa polska poza wykładami w gimnazjum nie ma żadnej absolutnie pociechy. A czego to spodziewano się od tych profesorów! »Zobaczysz pan — mówiono mi w Czytelni — jaki się tu ruch zaczyna, gdy nam kilka jednostek inteligentnych przybędzie z pomocą!« Podobne gadaniny często obijały się o moje uszy. Przecież główną pobudką założenia gimnazjum, główną, jeśli nawet nie jedyną, przyczyną naszego tutaj upośledzenia ma być podobno brak rodzimej inteligencji. Gdy zaś kilku takich inteligentów przybyło, okazuje się, że są siłą bierną, czynnikiem, który na rozwój ruchu narodowego nie wywiera żadnego wpływu. I jeśli ogólny duch w tutejszym obozie narodowym nie ulegnie odświeżeniu, to można być pewnym, że nawet personal całego gimnazjum za lat kilka nie zdoła w bilansie narodowym wyrównać deficytu, jaki dotąd stale z roku na rok się powtarza.

Chwila dzisiaj nader ważna. Przyjemną nutą zabrzmiała odezwa *Głosu ludu śląskiego*, mającego się pojawić pisma nowego. Jeśli ono tak poparte zostanie, jak wielką jest radość wśród ludu z tej zapowiedzi, to można pewnej poprawy oczekiwać. Co jednak przyszłość w sobie ukrywa, ludzkie oko tego nie przejrzy.

E. Kania.

Mitawa, w listopadzie.

Zajścia w gimnazjum. — List ucznia. —

Prośba do ministra.

W *Przeglądzie Wszechpolskim* była już wiadomość o zajściu w gimnazjum mitawskim, pragnę więc uzupełnić ją tylko kilkoma szczegółami, rzucającemi światło na całą sprawę.

Przedewszystkiem zaznaczę, że niedawno jeszcze szkoły wszelkich kategorii stały znacznie wyżej w prowincjach nadbałtyckich, aniżeli w ogóle w państwie rosyjskiem a tym bardziej w Królestwie i na Litwie. Główną ich zaletą był dobry system nauczania i normalny stosunek nauczycieli do uczniów. To też szkoły te przyciągały młodzież z Litwy i z Królestwa. Tak było do r. 1888. Od tego czasu szkolnictwo zaczęło stopniowo upadać w miarę postępów urzędowej rusyfikacji. Mnóstwo szkół niższych i średnich zamknięto, uniwersytet dorpacki stracił najlepsze siły. Kierownictwo pedagogiczne powierzono zwierzchnikom, zaprowionym w swoim fachu w Warszawie i w prawosławnych seminariach duchownych (Ławrowskij, Budiłowicz, Rożankowski). Jednak brak szkół na Litwie i teraz zmusza rodziców do oddawania dzieci do szkół w Rydze, Mitawie i Libawie.

W gimnazjum mitawskim religię protestancką wykładają Niemcom po niemiecku, Łotyszom zaś po łotewsku, natomiast wszyscy katolicy uczyć się muszą religii po rosyjsku. O zajściu, wywołanem rozkazem odmawiania modlitw w języku rosyjskim dadzą najlepsze pojęcie wyjątki z listu ucznia 3 klasy Tubelisa, którego za nieposłuszeństwo władzy z gimnazjum wydalono. Tubelis jest synem włościanina z powiatu poniewieskiego. List pisany był po litewsku, podajemy więc wyjątki w przekładzie dosłownym.

»Jestem wypędzony ze szkoły a zdarzyło się to w ten sposób. Po wakacjach przyjechał nowy inspektor. Zmówił się on z dyrektorem, żeby wszyscy uczniowie katolicy przed lekcyami odmawiali modlitwy po rosyjsku. Łotyszom i Niemcom pozwolili modlić się w swoim języku, czego katolikom władza szkolna odmówiła. Pierwszy raz nas katolików zebraли do sali 25 września (7 października) i modlitwę po rosyjsku odmówił jeden z naszych nauczycieli, katolik Miecznikowski. Na trzeci dzień inspektor kazał mi tę samą modlitwę odmówić. Stosownie do tego, jak było umówione między kolegami, nie zgodziłem się. Wtedy inspektor zapytał mię: dla czego nie chcę mówić po rosyjsku modlitwy. Odpowiedziałem, że nigdy po rosyjsku nie modliłem się. Inspektor kazał mi iść do dyrektora; powtórzyłem to samo dyrektorowi. Dyrektor bardzo rozgniewał się na mnie, kazał mi iść do domu i siedzieć tam dopóty, dopóki nie pozwoli mi przyjść do gimnazjum. Tegoż dnia zebraли się niektórzy nauczyciele i postanowili wydalic mię ze szkoły za to, że nie chciałem odmawiać modlitw moskiewskich i że publicznie ostro odpowiedział dyrektorowi«.

»Wiedz o tem — pisze do ojca ten dzielny chłopak — że gdy mię wypędzono byłem nie ostatnim, ale pierwszym uczniem i że nie zląkłem się tego wydalenia i nie lękam. Nauki, którą zdobyłem, z głowy mi nie wypędzą i będę mógł wstąpić do innego gimnazjum. Jak mię wydalono, wszyscy uczniowie oburzyli się i zmówili, żeby, chociażby wszystkich mieli wypędzić — modlitw moskiewskich nie odmawiać. Na czwarty dzień po zmówieniu się uczniów, dyrektor zapędził wszystkich do sali i kazał katolikom zwrócić się do obrazu, lecz rozkaz jego był na nic, bo uczniowie nie tylko nie zwrócili się do obrazu, ale wszyscy się zwrócili«. Opuszczamy dalszy ciąg listu, zawierający opis zajścia, zgodny z poprzednio podanym. Zaznaczyć tylko należy, że dyrektor Tichomiraw przetrzymał uczniów całą

dzień w gimnazjum, dopóki nie otrzymał telegraficznej odpowiedzi od kuratora z Rygi na pytanie: co robić. Uwięzieni uczniowie ułożyli prośbę do ministra oświaty Delianowa. Oto przekład wierny tej prośby, opatrzonej więcej niż stu podpisami i datowanej 20 października st. st. (1 listopada).

»Pan Bóg stworzył narody, dał im różne języki i kazał, żeby go chwalono w tych językach. A więc Bogu są jednakowo miłe wszystkie języki. My jeszcze w niemowlęctwie, na kolanach naszych matek nauczyliśmy się modlić do Stwórcy każdy w swoim języku rodzinnym. Chętnie będziemy się modlić i za cesarza (*Gosudaria Batiuszku*) w języku ojczystym. Przecie pozwalano na to zawsze i wszędzie. Książęta litewscy i królowie polscy, kiedy, jak nas uczy historia, władali zachodnią częścią Rosyi, pozwalali ludziom ruskim chwalić Boga po rusku. Nawet Tatarzy, podbiwszy Rosyę, nie nakazywali Rosyanom modlić się po tatarsku. Nakoniec, w murach naszego gimnazjum kolegom naszym lutrom pozwolono modlić się: Niemcom — po niemiecku, Łotyszom — po łotewsku. Dla czego gorsi jesteśmy od nich? Co zawiniłszy? Za co od kilku dni zmuszają nas wobec tych kolegów do modlenia się po rosyjsku, pozbawiając nas prawa, z którego oni korzystają? Błagamy Waszą Ekszellencję (*Wasze Sijatielstwo*) o wydanie rozporządzenia, żeby nam pozwolono się modlić za Monarchę w języku ojczystym. Jeżeli zaś przekracza to zakres władzy Waszej Ekszellency, racz złożyć te nasze błagania dziecięce u stóp J. C. M. Najmiłościwszego Pana naszego, Mikołaja II. W tej chwili właśnie wraca on od swych przyjaciół, katolików-Francuzów. Podczas pobytu w Paryżu zwiedził on nawet katedrę katolicką. O, niezawodnie on nas wysłucha! Wasza Ekszellenco! Wydad Pan zależne od władzy jego rozporządzenie, żeby nie wydalano z gimnazjum kolegi naszego Józefa Tubelisa, nie chcącego modlić się po rosyjsku. On zrobił to tylko, co zrobiliby każdy z nas, gdy nam zaproponowano to, co zaproponowano jemu«.

W kilka dni potem ci sami uczniowie, dowiedziawszy się, że minister Delianow jest chory, podali prośbę na imię cesarzowej Aleksandry Teodorówny. Powtarzają w tej prośbie przytoczone wyżej argumenty, więc podawać jej nie będziemy.

Należy wyjaśnić, że modlitwa, którą kazano uczniom katolikom odmawiać po rosyjsku, nie była zwykłą modlitwą szkolną, ale modlitwą za cesarza. W obawie więc żeby ich nie posądzono o brak lojalności zapewnijają, że owszem chcą modlić się za monarchę, ale w języku ojczystym:

W odpowiedzi na przytoczoną wyżej prośbę minister rozkazał, żeby uczniowie byli posłuszni swej władzy, w przeciwnym razie zagrożono im wydaleniem z gimnazjum z t. zw. »wilczym pasportem«, t. j. bez prawa wstępowania do innych zakładów naukowych. Księdzu prefektowi dano dymisyę i władza szkolna zażądała, żeby go wysłano administracyjnie z Mitawy, co jednak dotąd nie nastąpiło.

Wszelkie komentarze są chyba w danym wypadku zbyteczne.

St. Karpiński.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

Detroit, Mich. 24 listopada.

Zachęcony kilku wzmiankami w *Przeglądzie Wszechpolskim* o wędrowną wszechnicę ludową polską w Stanach Zjednoczonych P. A. upraszam Szanowną Redakcyę o zamieszczenie w piśmie niniejszego listu w sprawie tej

wielce użytecznej instytucji. Wszechnica ludowa polska została powołana do życia przez Rząd Centralny Z. N. P. na mocy uchwały XI-go sejmiku Z. N. P. który zalecił między innymi pracami na polu oświaty także zakładanie uniwersytetów, ludowych na wzór istniejących w Anglii i Ameryce »university extensions«. Dla pomocy miejscowym siłom naukowym Wydział oświaty Z. N. P. sprowadził z Europy dwóch profesorów i wykłady rozpoczęły się w Chicago w połowie kwietnia b. r. Wobec rozdzielenia, istniejącego obecnie wśród Polonii amerykańskiej, organizatorowie wykładów byli przygotowani do walenia z licznymi trudnościami. Z góry można było przewidywać, że wykłady, urządzone przez Związek i kosztem Związku, nie znajdą poparcia u organizacji i towarzystw, należących do przeciwnego obozu; ale obecność w Chicago aż czterdziestu grup związkowych dawała wykładającym prawo liczyć na znaczne powodzenie. Tymczasem, wbrew wszelkim oczekiwaniom, usiłowania profesorów napotkały na wstępie nie tylko na obojętność ze strony masy związkowców, ale i na wręcz nieprzyjazne zachowanie się względem wszechnicy ludowej pewnej części związkowej inteligencji. Inteligencja ta, do której zresztą należy stosować tę nazwę z pewnym zastrzeżeniem, z trudnych do wyłómaczenia pobudek wypowiedziała wprost wojnę wykładom i wykładającym. Potworzyły się wprawdzie we wszystkich prawie dzielnicach miasta dokoła profesorów szczupłe kółka prawdziwie inteligentnych i szczerze sprzyjających sprawie oświaty osób, cały jednak ogół pozostał obojętnym. Rząd Centralny Związku i większość członków Wydziału oświaty również nie przyczynili się niczem do podtrzymania młodej instytucji w najtrudniejszej chwili, przy stawianiu pierwszych kroków. Nie należy jednak uważać rezultatów, otrzymanych w Chicago, za całkowicie nieznaczne. W Anglii i w Ameryce w pierwszym roku istnienia uniwersytetów ludowych nie działo się lepiej, pomimo potężnego poparcia ze strony bardzo licznych przyjaciół oświaty.

Położenie zaczęło się szybko polepszać, gdy po skończeniu wykładów w Chicago, europejscy profesorowie wyjechali z polecenia Wydziału oświaty na tak zwaną »provincję«, t. j. do innych miast, posiadających mniej lub więcej liczne polskie kolonie. Plan podróży, obliczony na sześć do ośmiu miesięcy, obejmował wszystkie większe kolonie polskie od Chicago przez Pittsburg, Filadelfię, Nowy-York, Buffalo, Cleveland i Detroit z powrotem do Chicago. Ponieważ w każdym z tych miast profesorowie nie mogli bawić dłużej niż 3—4 tygodnie, postanowiono ograniczyć wykłady porozbiorową historią Polski i przepłać je naukowymi pogadankami na tematy, czerpane z fizjologii, geologii i geografii. Wybór przedmiotów, jak się okazało, był trafny. Szczególnie pożądane były wykłady z porozbiorowej historii Polski. Lud polski w Ameryce jest szczerze patryotyczny, ale o ojczyźnych dziejach, a szczególnie o ostatnich ich okresie ma dość słabe pojęcie. Pojedyncze ważniejsze wypadki są znane z mów i odczytów miewanych na obchodach, ale są to wiadomości oderwane, nie połączone w jedną całość i czerpane z ust przygodnych mówców i prelegentów, którzy nie zawsze umieją obchodzić się ze źródłami i zbyt często wynagradzają brak wiedzy historycznej obfitą, zresztą bardzo ucziwą i sympatyczną, retoryką. Najmniej znanym i rozumianym jest obecne położenie narodu, szczególnie w rosyjskim zaborze. To też głównym zadaniem profesorów było szczegółowe zaznajomienie słuchaczy z Polską dzisiejszej doby, przyczem zawsze szeroko były uwzględniane kolonie polskie w Stanach Zjednoczonych, ich znaczenie dla starego kraju i podwójne obowiązki osiadłych w Ameryce Polaków.

W pierwszym mieście na »provincji«, w South-Bend Ind. profesorowie doznali już znacznie lepszego przyjęcia,

niż w Chicago. Na wykłady przychodzili w dość znacznej liczbie członkowie kościelnych towarzystw, nie należący do Związku N. P. Ale i tutaj jeszcze powodzenie nie było zupełne. Tak n. p. najliczniejsza z trzech miejscowych grup Związku całkowicie ignorowała pracę profesorów z przyczyn, należących do tajemnic miejscowej polityki. W każdym razie ogólna i przeciętna liczba słuchaczy była już większą od tejże liczby w każdej z pojedynczych dzielnic »stolicy«.

W następnym mieście, Toledo Oh. przyciągający i łagodzący sprzeczności wpływ wszechnicy ludowej zaznaczył się stanowczo. Wykłady, rozpoczęte w prywatnej sali jednego z wybitniejszych związkowców, zostały przeniesione na żądanie publiczności do miejscowej szkoły parafialnej, gdzie związkowcy zasiadali po bratersku obok »kościelników«. Szkoła codziennie była pełna po brzegi i ludzie często dla braku miejsca musieli stać na dworze u otwartych okien. Agitacyi przeciwko wykładom nie było ani śladu; cała miejscowa inteligencja ubiegała się o uczestnictwo w tym wypadku przyjemność oddawania drobnych przysług ciężko pracującym wśród tropikalnych upałów prelegentom. Ogólna liczba słuchaczy na wszystkich wykładach razem doszła już do 1300 osób.

W Pittsburgu czekała podróżników na samym wstępie nadzwyczaj miła niespodzianka. Już na dworcu wzięła ich w swoją opiekę młodzież, należąca do miejscowej grupy związkowej »promienistych« i odtąd aż do wyjazdu z Pittsburga profesorowie korzystali z towarzystwa i pomocy ludzi, którzy swoim usposobieniem i wykształceniem żywo przypominają współczesną młodzież w wielkich polskich miastach. Pittsburscy »promieniści« z powodzeniem wstępują w ślady swoich wileńskich imienników, a niektórzy z pomiędzy nich całkowicie zasługują na podniesienie do stopnia filaretów. Pittsburskie Towarzystwo oświaty w osobie swojego prezesa i wszystkie grupy związkowe gorliwie zajęły się urządzeniem wykładów, co nie było rzeczą łatwą ze względu na niezmiernie gorącą porę roku. Wykłady odbywały się w tak zwanych klubach politycznych pojedynczych grup związkowych, w amerykańskiej szkole publicznej i nareszcie w starym unickim kościele, uprzemie ofiarowanym na ten cel przez miejscowego proboszcza ruskiej parafii. Pewną przeszkodę stanowiła niewyłómaczona niechęć ze strony miejscowych polskich proboszczów, którzy solidarnie odmówili pozwolenia odbywania wykładów w szkołach parafialnych. Największym powodzeniem cieszyły się wykłady w południowej dzielnicy miasta, gdzie mieszka wielu Rusinów. Rozumieją oni po polsku i chętnie obcuje z Polakami. Na tych wykładach wielu Polaków z pruskiego i austriackiego zaboru po raz pierwszy może w życiu dowiedziało się o bohaterkiej przeszłości kościoła unickiego w zaborze rosyjskim i nabrało dokładnego pojęcia o ścisłym związku, jaki zachodzi między tryumfem polskiej sprawy i tryumfem kościoła katolickiego w zaborze rosyjskim. Przez cały czas pobytu profesorów w Pittsburgu stale towarzyszyły im grono »promienistych« i ich przyjaciół, którzy wykonywali wszystkie organizacyjne i techniczne czynności, pozostawiając profesorom tylko trud wygłaszania prelekcji. Ogólna liczba słuchaczy w Pittsburgu doszła do 2000 osób. Podczas jednej z przerw w wykładach jeden z profesorów zrobił wycieczkę do miasteczka Mount Pleasant odległego o jakie 50 mil od Pittsburga i wygłosił tam dwie prelekcje o współczesnym stanie Polski, w obecności wszystkich prawie związkowców i nielicznego grona rodaków, należących do innych organizacji. Szczerza, chociaż czasami nieco rubaszna gościnność związkowej braci w tym zapadłym zakątku Pensylwanii pozostawiła w sercu europejskiego gościa bardzo wdzięczne wspomnienie.

Z Pittsburga profesorowie przenieśli się do Filadelfii. Wzięci na wstępie w opiekę przez ówczesnego redaktora miejscowego pisma »Patryota« zaledwie się rozpatrzyli w tem olbrzymim mieście, gdy zgłosili się do nich przedstawiciele Towarzystwa oświaty z przedmieścia Bridesburg z prośbą o wykłady. Zostawiono więc na później urządzenie wykładów w mieście i rozpoczęła się praca na Bridesburg'u. Nigdzie jeszcze dotąd i nigdzie później nie mieli europejscy profesorowie tak licznego audytorium, jak wśród tej niewielkiej ale zgodnej ze sobą żyjącej i pięknym duchem ożywionej kolonii. Uprzejmie przyjęci przez miejscowego proboszcza profesorowie pracowali co wieczór w szkole parafialnej, mającej sto pięćdziesiąt siedzeń. Nie tylko wszystkie siedzenia bywały zwykle zajęte, ale najczęściej drugie tyle słuchaczy stało wzdłuż ścian, w przejściach między ławkami i we drzwiach szkoły. Związkowcy, zjednoczeni i kościelnicy gromadzili się wspólnie i wynagradzali pracę profesorów pilną uwagą i gorącymi oklaskami. Można liczyć bez przesady, że ogółem ze cztery tysiące ludzi przesunęło się przez szkołę podczas dwutygodniowego kursu. Między prelegentami i członkami Towarzystwa oświaty, przeważnie ludźmi młodymi z rosyjskiego zaboru, zawiązał się serdeczny stosunek, którego następstwem były częste odwiedziwy i spędzanie czasu na poufnej rozmowie. Pewna ilość słuchaczy pod wpływem wykładów przystąpiła do Towarzystwa oświaty i stanęła w ten sposób po raz pierwszy do wspólnej pracy na polu narodowym. Wogóle wątpię, czy gdziekolwiekbydź w mniejszych koloniach Polonia przedstawia się korzystniej niż w Bridesburgu. Zgoda, jedność i prawdziwie poważny duch patryotyczny odrazu zwracają na siebie uwagę świeżego przybysza. Ten swój pomyślny stan moralny i umysłowy kolonia bridesburska zawdzięcza mojemu zdaniem w znacznej części wpływowi szczupłego ale wielec cennego grona inteligentnej chociaż średnio wykształconej młodzieży z zaboru rosyjskiego (przeważnie z litewskiej szlachty zaściankowej), a także taktownemu postępowaniu miejscowego proboszcza.

W samem mieście Filadelfii organizacja wykładów napotkała z początku na różne trudności, które pod pewnym względem przypomniały profesorom ich pobyt w Chicago. Miejscowi związkowi przyjęli przybyszów z obojętnością, pod którą można było nawet dopatrzeć się niechęci. Po bliższem jednak zbadaniu rzeczy okazało się, że źródło tej niechęci było całkiem inne, jak w »stolicy«. Gdy w Chicago pewna część inteligencji i półinteligencji stale zachowywała się wrogo względem profesorów i ich usiłowań i przytem z pobudek, które się nie nadają do ogłoszenia w piśmie, we Filadelfii początkowa niechęć ustąpiła po bliższem wspólnem zaznajomieniu się i porozumieniu się, niemożliwe w stolicy Związku, stało się faktem dokonany w jego kolebce. Cały »frubel« powstał stąd, że chicagoski wydział oświaty nie zawiadomił urzędownie filadelfijskich grup o zamierzonym przybyciu profesorów, a ciż profesorowie, mało świadomi polsko-amerykańskiej etykiety i przypuszczający że dobra sprawa starczy za wszystko, nie potrafili na razie naprawić błędu swojej zwierzchności. Powoli jednak wszystko się naprawiło, zapanowała zupełna harmonia i wykłady odbyły się w północnej stronie miasta, w szkolnej sali przy kościele św. Wawrzyńca. Słuchaczy jednak w tej parafii było bezporównania mniej, niż na przedmieściu, co się po części tłumaczy ogromem miasta i rozproszaniem Polaków w Filadelfii, a po części brakiem w tej dzielnicy tego cementu, wyrobionego w moskiewskiej kuźni, który wszędzie gdzie się znajdzie wśród amerykańskiej Polonii oddaje sprawie narodowej nieocenione usługi.

Całkowite niepowodzenie spotkało profesorów w południowej części Filadelfii. Tutaj po raz pierwszy europej-

scy pionierowie spotkali oko w oko ze wstrętnym wytworem amerykańskich stosunków, z tak zwanymi zawodowymi zrywaczami mityngów. Ludzie ci, bez żadnych przekonań i żadnej moralnej wartości, są na usługi każdego, kto ma jaki interes w niedopuszczeniu mówcy do porozumienia się ze słuchaczami. Nieraz jednak występują oni i na własną rękę przez swawolę lub wyrachowanie. Technika takiego zrywacza polega na tem, że przerywa on co chwila mówiącym, wtrącając głośno niestosowne uwagi lub nawet występując wprost z osobistemi napaściami. Jeżeli mówca usiłuje nie zwracać uwagi na to przerywanie i mówi dalej, to akcja zrywacza przechodzi w stały hałas i wycie, stanowiące już fizyczną przeszkodę dla mówienia. Jeżeli zaś mówca wda się w polemikę ze swoim przeciwnikiem, to straci wątek mowy i już do niego nie będzie mógł wrócić. Jedyny sposób na zrywaczy to samopomoc publiczności; zwycięstwo zależy w takim razie od liczby i zawsze bywa okupione przez cały szereg nieprzyjemnych epizodów, bynajmniej nie liczących z powagą miejsca i rzeczy.

Kto miał interes niedopuszczyć do wykładów na południowej stronie Filadelfii, pozostaje tajemnicą; dość że na pierwszym wykładzie z polskiej historii zaczęła działać liczna i karna banda zrywaczy — i profesor, przekonawszy się o bezowocności odwoływania się do szlachetniejszych uczuć awanturników, a nie chcąc dopuścić do czynnego wmięszania się reszty słuchaczy, nakrył głowę i opuścił audytorium. Ta okoliczność, że pierwsza lekcja z dziedziny nauk przyrodniczych przeszła spokojnie, a została zerwaną lekcya, traktująca o rozbiorach Polski, nasuwa pewne podejrzenia, które jednak, jako nie sprawdzone, muszą pozostać podejrzeniami. Był to pierwszy i jedyny wypadek całkowitego niepowodzenia w ciągu sześciomiesięcznej kampanii. Coś podobnego próbowano urządzić i w Mount Pleasant, ale tam związkowcy z łatwością opanowali sytuację. Po naradzie profesorowie postanowili nie narażać w dalszym ciągu dobrej sprawy na koleje walki z awanturnikami i odwołali ogłoszone w tej miejscowości wykłady.

Tymczasem, pomimo tego względnego powodzenia w Wydziale Oświaty Z. N. P. i w Rządzie Centralnym zwyciężyli przeciwnicy Wszechnicy Ludowej. W końcu września Rząd Centralny zażądał od Wydziału Oświaty szczegółowego sprawozdania o działalności wszechnicy i opinii tegoż wydziału, czy należy w dalszym ciągu popierać materialnie pracę europejskich profesorów, czy też pozostawić ich własnemu przemysłowi. Po dość gorącej naradzie wydział dał odpowiedź nieprzychylną dla profesorów większości głosów przeciwko trzem; za dalszem popieraniem sprawy oświadczyli się sekretarz wydziału dr. S., skarbnik p. Z. i jeden z członków p. S., znany notaryusz w Chicago. Stosownie do tej opinii wydziału, rząd na posiedzeniu d. 8 października 1896 r. uchwalił zaprzestać wypłacania profesorom pensji od 1 listopada i wyasygnować im po 100 dolarów na powrót do Europy. Postanowienie to uzasadniono brakiem powodzenia wykładów, rząd jednak obiecuje na przyszłość swoje poparcie takiemu systemowi prowadzenia wykładów, przy którym koszta nie padałyby wyłącznie na kasę Związku.

Po otrzymaniu urzędowego zawiadomienia o postanowieniu urzędu, profesorowie, pod wpływem przekonania o użyteczności swej pracy i wobec ciągle wzrastającego zainteresowania się publiczności wykładami, postanowili nie wracać do Europy, lecz spróbować prowadzić wykłady w dalszym ciągu na własną rękę, nie oglądając się już na poparcie ze strony Rządu Centralnego. Pierwsze próby wypadły świetnie pod względem moralnym; co do strony materialnej, to zasada dobrowolnej opłaty od słuchaczy pozostała bez zmiany. Jak przedtem, tak i teraz ogromna większość słuchaczy

nie płaciła nic, pewna liczba płaciła po cencie za wykład, a tylko niektórzy po 5 centów. Lud polski w Ameryce tyle już razy był narażony na bezecny wyzysk ze strony różnego rodzaju przybłądów, że stał się niezmiernie podejrzliwym, nie umie on jeszcze odróżniać wyzyskiwaczy od ludzi szczerze pracujących dla jego dobra, nie bardzo nawet wierzy w możliwość istnienia tego gatunku ludzi. Wszystko to razem nakazywało profesorom niezmierną ostrożność w traktowaniu finansowej strony ich przedsięwzięcia.

Pierwsza próba wykładów na własną rękę, dokonana w Camden N. Jersey, wypadła znakomicie. Ponieważ miejscowy proboszcz polski, zostający prawdopodobnie pod wpływem ostatniego kongresu w Buffalo, stanowczo odmówił szkoły profesorowi, mającemu wykładać historię polską, komitet, utworzony z członków obydwóch grup związkowych, wystarał się o halę u jednego ze salunistów (właścicieli piwiarni) Niemca, który pod wpływem jakichś wyższych kombinacyi, ofiarował swój lokal za darmo. W ten sposób wykłady o walce narodu polskiego o niepodległość, odbyły się w domu niemieckim, gdy obok obszerna i piękna polska szkoła stała pusta i zamknięta; coby powiedzieli na to poznańscy nakatycy?

Szczupła kolonia polska w Camden, licząca nie więcej nad dwieście rodzin, należy do najsympatyczniejszych gniazd polskich, spotkanych przez profesorów podczas ich wędrówki. Szczególnie dobre wrażenie robią związkowe. Jest tam znaczna liczba obywateli inteligentnych, wyrobionych politycznie i prawdziwie patriotycznych. Sala zawsze była pełna, pilność i uwaga słuchaczy wzorowa i nastrój uroczysty. Po każdym wykładzie dobrane kółko obywateli zapraszało profesora na dodatkową pogawędkę; nie było kwestyi interesującej każdego inteligentnego Polaka, którejby obie strony nie dotknęły na tych zebraniach.

Ostatni wykład, traktujący, jak zwykle, o współczesnym stanie sprawy polskiej i o ukształtowaniu się stronnictw politycznych w kraju, urósł do rozmiarów patriotycznej manifestacyi. Na sali ukazały się towarzystwa wojskowe polskie — gwardya Pułaskiego, przybyła z Filadelfii i miejscowi rycerze sw. Michała, w mundurach i z bronią, pod dowództwem swoich kapitanów. Przybył także z Filadelfii komendant 1-go korpusu wojsk polskich. Wprowadzony przez kapitanów profesor otrzymał honory wojskowe i po skończeniu prelekyi przemówił wyłącznie do „rycerstwa“, wzywając je, aby się wzorowało na swoich poprzednikach, legionistach Dąbrowskiego i Kniaziewiczza, którzy pierwsi dali światu widok wojsk polskich, utworzonych na emigracyi.

Podczas gdy to się działo w Camden, drugi profesor wykładał w Reading Pa., także ze świetnym powodzeniem. Po tygodniu przyłączył się do niego jego kolega, przybyły z Camden. Do powodzenia w Reading przyczynił się w bardzo znacznym stopniu miejscowy proboszcz, ksiądz Wojciech Małusecki, człowiek wszechstronnie wykształcony, szczerzy przyjaciel oświaty i prawdziwy patriota. Gościnność, okazana przez szanownego ks. M., zrobiła najlepsze wrażenie. Związkowcy widzieli w tym fackie dowód dbałości proboszcza o oświatę, gdy reszta publiczności czerpała z tegoż źródła przekonanie, że misya profesorów nie polega na burzeniu kościołów i sianiu niewiary, jak głosili w stronnictwie zaciętrzewieniu niektórzy bardziej gorliwi niż rozsądni przeciwnicy Związku.

Wykłady w Reading trwały dwa tygodnie; co wieczór szkoła mieszcząca 150—200 osób była pełna.

Na tem kończy się pierwsza część odysei europejskich profesorów. Z Reading jeden z nich udał się do Nowego Jorku w zamiarze zorganizowania tam przy pomocy miejscowych sił wykładów na większą skalę, drugi zaś osiadł

w tym celu w Detroit Mich., gdzie znalazł gościnność i materialne poparcie ze strony istniejącego w tem mieście polskiego gimnazyum i seminarjum.

Spróbujemy streścić rezultaty ubiegłej kompanii, o ile to jest możliwe; liczby w większości wypadków są niedokładne, ale dla uniknięcia przesady będyemy brać jak najmniej.

Przez sześć miesięcy trwania wykładów obydwaj profesorowie wygłosili razem około 160 prelekyi, przyczem na polską i powszechną historię przypada około 90 wykładów, reszta zaś na nauki przyrodnicze. Ogólna liczba słuchaczy dochodzi do 12.500 osób, czyli przeciętnie około 78 osób na jeden wykład. Koszt, poniesiony przez Związek N. P. wynosi okragłe 1000 dolarów, licząc 400 dolarów na koszta podróży profesorów z Europy i z powrotem, a 600 dolarów jako półroczne wynagrodzenie profesorów. Dochód z dobrowolnych opłat słuchaczy wyniósł nieco mniej niż 200 dol., z których około 120 dol. użyto na pokrycie kosztów przejazdu prelegentów z jednej kolonii do drugiej.

Kto zna historię angielskich i szwedzkich *university extensions*, które rozwijały się niezmiernie powoli, pomimo poparcia ze strony inteligencji, ten nie może bynajmniej uważać powyższych rezultatów za prawie żadne, jak to twierdzi Rząd C. Związku N. P. i urzędowy organ związku *Zgoda*. Rezultaty te są dość pokazne. Gdy się zaś weźmie pod uwagę wrogie stanowisko, które zajęła wobec profesorów i ich działalności znaczna i przytem wpływowa część »stółecznej« inteligencji, obojętność Rządu C., nie dość energiczną działalność wydziału oświaty, prześladowanie ze strony niektórych pism kościelnych i niektórych, wprawdzie nie-licznych, proboszczów, oraz rozbałamucenie polskiego ludu w Ameryce, to skromne te rezultaty wyrastają do wcale poważnych rozmiarów. Niezmiernie ważną cechą całej kampanii, świadcząca na korzyść przedsięwzięcia, jest ten niezaprzeczony fakt, że powodzenie stopniowo nie zmniejsza się, lecz wzrasta. W miarę oddalania się profesorów od ogniska amerykańskiej Polonii, które jest zarazem areną wzajemnych walk różnych miejscowych wielkości i polem operacyjnym dla wszelkiego rodzaju wątpliwych egzystencyi, wzrasta liczba słuchaczy i potężniej zainteresowanie się ludu polskiego dziejami swojej ojczyzny. Lud ten, bałamucony przez setki niepowołanych mówców i prelegentów, którzy karmią go zazwyczaj podczas obchodów narodowych pustą frazeologią, zaczyna coraz to więcej nabierać zamiłowania do prawdziwej historii, opartej na faktach i ustalonych przez naukę poglądach.

Dają się słyszeć głosy, że dobrze by było, gdyby profesorowie pracowali w każdej osadzie nie po kilka tygodni, lecz po kilka miesięcy, że gdyby na obchodach takie rzeczy mówiono, to ludzie byłiby inni, że należałoby drukować te »mowy« (tak lud zwykle nazywa prelekye), a ludzie by je chętnie rozkupowali itd. W mniejszych osadach, gdzie nie ma wcale żadnej miejscowej inteligencji, lud po raz pierwszy dowiadywał się z ust wystanników Związku o kardynalnych rzeczach, które każdemu Polakowi powinny być znane. Szczególnie ważnem było dokładne wyjaśnienie rozwoju kwestyi włościańskiej w Polsce, szczegółowe zaznajomienie ludu ze sprawą kościoła unickiego, łagodzenie istniejącego tu i ówdzie antagonizmu między Polakami i Litwinami, zacieranie bardzo silnie występującej waśni między Polakami z różnych zbiorów i szczegółowe omawianie interesów i obowiązków wychodźstwa. Jako echa tej części pracy profesorów zaczęły ukazywać się pod koniec kampanii w *Zgodzie* korespondencye, pisane przez związkowców i odzwierciadlające nastrój autorów, zostających pod wrażeniem dopiero co wysłuchanych wykładów.

Dla Związku N. P. wykłady te posiadały jeszcze jedną niezmiernie ważną stronę. Publiczność uczęszczająca na nie bynajmniej nie składała się z samych tylko związkowców. W Reading n. p. grupa związkowa liczy 18 członków, gdy słuchaczy było codziennie od 150—200. Nie należąca więc do Związku publiczność wynosiła z audytorów to przekonanie, że zadaniem Związku N. P. w Ameryce nie jest bynajmniej szerzyć niewiarę i wojować z kościołem, jak to twierdzą ustawicznie niektórzy pisma i niektórzy przeciwnicy organizacji. Podczas wykładów zapominali ludzie różnych stronniczości choć na chwilę o swoich rozterkach i przyzwyczajali się widzieć przed sobą i ponad sobą wspólny cel i wspólną ideę. Dostarczając więc całej braci polskiej zdrowego pokarmu dla duszy i umysłu, spełnił Związek przez pośrednictwo swoich wysłanników wysokie, wielce patriotyczne i politycznie mądre zadanie.

Wobec tego wszystkiego należy ubolewać, że obecny Rząd C. Związku N. P. uległ zdaniu osobistości nieprzychylnych tej sprawie i przerwał tę pożyteczną wychowawczą kampanię w chwili, kiedy pierwsze lody były już przełamane, pierwsza niechęć rozbrojona i pierwsze wątpliwości usunięte. Takie cofnięcie się z połowy drogi osłabia w znacznym stopniu, osiągnięte już rezultaty i może być uważane za nieuzasadnione zmarnowanie pracy profesorów i grosza związkowców. Jeżeli dotychczasowe rezultaty wydawały się zbyt nieznacznymi, to zdrowa polityka nakazywała nie przerywać raz rozpoczętego dzieła, lecz przeciwnie poprzeć je z większą jeszcze energią. Postępowanie Rządu C. w tej sprawie tłumaczy się zresztą brakiem kompetencji ogromnej większości jego członków w sprawach dotyczących nauki i głębszej polityki. Przywykli do tłumów, zapewniających sale na obchodach i mitingach politycznych, a nie mający pojęcia o tem, w jaki sposób prowadzi się poważne i na trwałe skutek obliczone wychowanie polityczne tak niejednolitego społeczeństwa, jak nasze, członkowie Rządu C. pozwolili wzmóc w sobie z łatwością, że całe przedsięwzięcie jest chybione i cofnęli się przed dalszymi pieniężnymi ofiarami na cel, któremu równego — być może — nie ma w danej chwili na całym obszarze naszej ojczyzny. Nie brak bowiem sił, staje na przeszkodzie normalnemu rozwijaniu się naszej sprawy, lecz właśnie brak politycznego wykształcenia wśród mas ludowych, brak zaś ten przy słabo rozwiniętem czytelnictwie i małej względnie wartości pism polskich w Ameryce może być choć w części usunięty tylko za pomocą żywego słowa. Słowo to jednak nie powinno zasadzać swego powodzenia na drażnienie nerwów słuchaczy za pomocą głośnych i szumnych frazesów; powinno ono zwolna i umiarkowanie lecz stale i wytrwale otwierać sobie drogę do rozumu i sumienia lepszych jednostek i grup we wszystkich koloniach. Szczególnie ważną jest rzeczą dostarczanie takiego pokarmu umysłowego mniejszym osadom, w których mieszka półtora miliona z dwóch milionów Polaków, osiadłych w Ameryce; materiał jest tam częstokroć bezporównania lepszy niż w wielkich miastach, gdzie zbyt często dają się spostrzedz ślady działalności wszelkiego rodzaju rycerzy przemysłu.

Moralna odpowiedzialność za obecne cofnięcie się z połowy drogi spada, mojem zdaniem, na inteligentnych i wykształconych członków Rządu C., Wydziału oświaty i ich doradców. Tym ludziom łatwiej było zrozumieć znaczenie rozpoczętej roboty i trafnie ocenić osiągnięte dotychczas rezultaty. Ze się stało inaczej, należy to chyba złożyć na karb tak pospolitego niestety u sfer inteligentnych w Ameryce niskiego poziomu społecznej i politycznej moralności.

Tomasz Siemiradzki.

— *Polacy w Wisconsinie.* Liczba osad polskich w Wisconsinie jest stosunkowo dosyć znaczną. Największe kolonie są w powiatach Trempeau, Portage, Marathon, Wood, Shawana, Brown, Oconto i Manitowoo. *Kuryer Polski* powiada, że jest w tym stanie przynajmniej 100 kolonij polskich. Licząc w każdej przeciętnie po 150 rodzin, mamy 15.000 rodzin polskich, czyli 75.000 osób. Oprócz tego miasto Milwaukee ma około 40.000 ludności polskiej.

Przeważną część tej ludności stanowią rolnicy (farmerzy), którzy osiedlali się w okolicach lesistych, karczowali bory i zakładali gospodarstwa na nowinach.

Wschodnia część powiatu Marathon i Portage — pisze *Kuryer Polski* — jest lesista i nader kamienista. Osiedli tam rodacy nasi, bo grunt tani. Dziś w około farm na Polonii w powiecie Portage i na Pike Lake i Event w powiecie Marathon widzieć można mury a raczej wały kamienne, pięć lub sześć stóp szerokie i tyleż wysokie, jako wiekopomny dowód olbrzymich trudności, które pionierzy polscy mieli do zwalczania. Tylko niezmordowaną pracą zdołał kolonista polski oczyścić pola swoje z olbrzymich głazów i kamieni, które pole zalegały tak gęsto, jak piasek zalega brzeg morza. Pod kamieniami jest dobra, żyzna ziemia, i rodzą się tam ziemniaki najlepsze w całym Wisconsinie.

Farmerzy polscy w Wisconsinie nie są bogaci. Osiedlili się dopiero w ostatnich kilku lub kilkunastu latach i nabyli tylko tyle ziemi, ile mogą obrobić. Po większej części posiadają po 80 akrów; mało który ma więcej, mało który mniej. Wielu jeszcze nie spłaciło długu ciężącego na farmie, a przy terażniejszych niskich cenach za płody rolne trudno im przychodzi nawet procent płacić. Ale biedy nie klepią.

Projekt ześrodkowania osadnictwa polskiego w stanie Washington (nad Oceanem Spokojnym) nie ma, zdaje się, widoków powodzenia, wymaga bowiem dobrze zorganizowanego kierownictwa i znacznych kapitałów. Należałoby więc może ludność robotniczą, chcącą osiedlić się na roli, kierować do Wisconsinu. Dotychczas sprawą kolonizacji polskiej w Ameryce północnej zajmują się wyłącznie spekulanci, którzy rozpraszają ludność naszą po wszystkich niemal stanach.

PRZEGLĄD PRASY.

— *Kraj*, broniąc p. Spasowicza, zapewniał swoich czytelników, że podobne jak on poglądy na przeszłość Polski i ustroj średniowieczny państwa polskiego, które nie mogło dłużej istnieć, wygłaszał nie tylko sam Pawiński, ale np. p. Rembowski i kilku innych historyków. Tymczasem oto co pisze o Pawińskim, a pośrednio o ustroju państwowym Polski p. Rembowski w *Bibliotece warszawskiej*. Wspomniawszy o historykach obcych, którzy utożsamiali ustroj dawnej Rzeczypospolitej z najzupełniejszą anarchią, p. Rembowski tak dalej mówi:

Ażeby takiemu zarozumiałemu piętnowaniu przeciwstawić należną ocenę i sprawiedliwy sąd historyczny, trzeba było przedewszystkiem, aby nasi uczeni poznali gruntowniejszą przeszłość ustroju państwa polskiego. Dopiero bowiem wówczas metodą porównawczą można było przekonać siebie i obcych, że mimo wybujałego nadmiernie pierwiastku indywidualnego, czyniącego wrażenie chaosu, dawny nasz ustroj nie był tak zupełnie odoosobnionym i wyjątkowym nawet w Europie XVIII stulecia. Dość tylko przypomnieć, że na początku XIX wieku starą konstytucję węgierską określano zazwyczaj jednym wy-

razem „confusio“. Zastługą dzieł Pawińskiego jest właśnie owo gruntowne zaznajomienie nas z najważniejszymi organami w ustroju dawnego państwa polskiego, które przedewszystkiem pozwala nam samym poznać niedostatki i braki, jakie przyszli badacze wypełnić będą zmuszeni, chcąc dać społeczeństwu pełny i wyczerpujący obraz przeszłości całkowitego ustroju państwa polskiego.

Trudno również dopatrzeć pokrewieństwa poglądów p. Rembowskiemu z poglądami p. Spasowicza w następującem zdaniu o Pawińskim:

Ale właśnie dlatego, że nie zaprzedał umysłu swego żadnej politycznej doktrynie z bieżącego stulecia, i że trzymał się wiernie cycerońskiej maksymy: „necessarium imprimis est nosse rempublicam“, sądy jego mają nieprzerpniętą siłę zdobywania sobie przekonania czytelnika. Nie drażniły one ani jątrzyły nikogo lekceważeniem, lub wyniosłością, nie przygnębiały sceptycyzmem, nie obrażały ironią a tem mniej upokarzały uragowskiem.“

Ładac trzeba, że te cytaty z artykułu p. Rembowskiemu wzięliśmy z *Kraju*, który widocznie nie lęka się krytycyzmu swoich czytelników.

= Korespondent paryski *Gazety handlowo-geograficznej*, zaznaczywszy że kolonia polska w Paryżu zmniejsza się ciągle i że istniejąca tam szkoła nie jest właściwie potrzebną, bo chociaż wychowała setki ludzi, społeczeństwo nasze niewiele ma z nich korzyści — proponuje, żeby tę szkołę, właściwie fundusze jej i zbiory przenieść do Parany.

„W dzisiejszych warunkach traci szkoła batignolska coraz bardziej rację bytu i niema wątpliwości, iż w niedalekiej przyszłości stanie się ona szkołą czysto francuską lub wprost zostanie zwinęta. A wielka byłaby szkoda, gdyby świetne tradycje naukowe tej szkoły, i najpiękniejsze zamiary założycieli i pupilów tejże — poszły na marne. A ileż dobrego by ta szkoła mogła zrobić dla narodowości polskiej, gdyby przeniesiona została na grunt kolonii polskich w Paranie. Byłby to niechybnie krok epokowy w rozwoju polskiej kolonizacji a szkoła batignolska, przeniosłszy swoje tradycje i zbiory na dziewięzy grunt, stałaby się mogła zarodkiem wielkiej, naukowej instytucji nowopolskiej

Autor projektu nazywa go sam śmiałym i trudnym do urzeczywistnienia, słusznie jednak twierdzi, że chociaż trudny, jest projekt ten wykonalnym. Nie ulega wątpliwości że instytucje polskie w Paryżu — z narodowego punktu widzenia — tracą rację bytu. Ale wchodzą tu w grę różne względy, o których wyrokować nie można bez wysłuchania strony bezpośrednio zainteresowanej, dużo znaczy też tradycja, która ma wielką siłę oporną nawet wobec najlepszych projektów.

= Ks. Stojałowski nie przestaje w pisemkach swoich zasługiwać się Moskalom. W dwóch ostatnich numerach *Wieńca* wydrukował znowu list »naocznego świadka« p. t. z *Rosyi i o Rosyi*, w którym usiłuje dowieść, że położenie nasze pod zaborem rosyjskim jest bezwarunkowo lepsze i znośniejsze, niż — w Galicyi. Jakich do tego używa argumentów, wystarczy przytoczyć następujące zdania dosłownie:

„Biorąc zaś ogół stosunków rosyjskich przed oczy, nie można zaprzeczyć, że są one *zdrowsze* (!) niż w państwach konstytucyjnych. Ucisk polityczny ludzi innych przekonań jest przecie daleko bardziej tyrański w konstytucyjnych państwach niż w Rosyi. Rosya gnębiła politycznie Polaków, ale *tylko* (!) tych, o których wiedziała, że urządzali powstanie t. j. szlachtę i duchowieństwo; reszta narodu nie padała ofiarą żadnego prześladowania“...

Dwa tylko zarzuty, podnoszone przeciw Rosyi, zdaniem ks. Stojałowskiego, mają pewną podstawę, ale ocenianie je należy »sprawiedliwie i bez przesady«, — mianowicie samowładztwo i brak swobód konstytucyjnych, oraz prześladowanie religii. Co do samowładztwa, »naoczny świadek« metatylko się z niem godzi, ale stawia je nawet wyżej od konstytucjonalizmu.

„W Rosyi konstytucyi niema — prawda. Lecz na cóż jest właściwie konstytucya? Na to, aby obywatele sami się rzadzili, a tak „lepszą dolę“ mieli. Tę lepszą dolę mają (!) mieszkancy Rosyi, chodźliby więc chyba o samorząd dla samorządu“.

Zresztą twierdzi »naoczny świadek«, że nie istnieje w Rosyi »czyste samowładztwo«. Jest tam przecież »rada państwa«, coś na kształt »Izby panów«, więc połowa (!) tego, co mają państwa konstytucyjne. »W Królestwie był nawet i Sejm do r. 1830, — i byłby do dzisiaj, gdyby nie powstanie...«

„Czy może konstytucya w Królestwie wrócić? Mojem zdaniem może, a zależy to głównie od samych Polaków, jeżeli nie będą wiecznie wrogo i nienawistnie stać wobec Rosyi“...

Również i z drugiego »zarzutu«, co do prześladowania religii, ks. Stojałowski rozgrzesza Rosyę zupełnie.

„To prześladowanie *było* w Rosyi, ale dziś już go niema.. Nie można też zapominać, że prześladowanie to miało swoje polityczne powody, a powszechny udział duchowieństwa je wywołał.. Będzie i pod tym względem lepiej w Rosyi jako się już zaczęło, zwłaszcza jeżeli duchowieństwo w politykę bawie się nie będzie... Najlepiej duchownym pilnować swego powołania i gdyby to w Królestwie byli zrobili, nie możnaby było tyle mówić o prześladowaniu „religii“, a właściwie należałoby mówić o prześladowaniu duchownych za „powstanie“ i za urządzenie komitetów powstańczych i składów broni w klasztorach lub plebanjach“.

Powyższe wywody sądzą się same, a zdradzają tylko że autor ich zbyt wielkim sprytem nie grzeszy. Jeżeli zaś ks. Stojałowski zamierza nadal pewniej kroczyć po drodze, na którą zaszedł, radzimy mu, aby wstąpił w pierw na naukę do p. Margrafskiego. Sprytniejszy on od ks. St., bo przynajmniej tak bezczelnie i niezgrabnie nie kłamie.

= Z powodu artykułu w *Kleines Journal*, dowodzącego, że szpieg Lützow kręcił się w Toruniu w towarzystwie polskiem na kilka dni przed wygłoszeniem przez Wilhelma II pamiętnej mowy, do Polaków która rozwiła urojenia polityki ugodowej. *Dziennik poznański*, sądzi, że po tej nici można dojść do kłębka intrygi, która zniweczyła zabiegi partii dworskiej.

W polemice z *Dziennikiem* podaje *Oređownik* sensacyjną wiadomość.

„Agentów politycznej policji nikt oczywiście nie będzie posyłał do towarzystw małych miasteczek, za to jest ich zawsze sporo na wszystkich naszych zjazdach. I niech nikt nie myśli, że na takich agentów bierze się tylko policjantów zwyczajnych, albo tylko Niemców; nie rzadko bierze się roduitych Polaków, a my tu w Poznaniu wiemy dobrze, iż zdarzają się wypadki, że biorą ich z grona członków.“

Dziennik poznański i *Goniec* wystąpiły w obronie towarzystw polskich, na co *Oređownik* tak odpowiada:

„A więc *Dziennikowi Pozn.* i *Goncowi*, które przeciw nam wzięły w obronę — „zaene“ towarzystwa nasze, niech posłużą za „zaena“ odpowiedź, iż w jednym z naszych towarzystw zaszedł taki fakt, iż członek tegoż towarzystwa został z niego — „zaenie“ wyrzucony jako tajny szpieg polityczny.“

„Rodowitych Polaków na usłudze politycznej tajnej policji jest sporo w Berlinie i w Westfalii. W tych dniach wymieniono nam trzech tu w Poznaniu.“

Nie koniec litanii. Jeden z kilkoletnich korespondentów *Oređownika* — „dzielny wiarus“, rzetelnych prawdziwych zasług koło rozbudzania życia w naszych towarzystwach, sam członek towarzystwa — nagle zamilkł. Nie upłynęło półtora roku, dostajemy jedno, drugie sprawozdanie z naszych towarzystw, w jednym i drugim referują nam, że nasz kochany korespondent był także na zebraniach jako policjant, dozorujący towarzystwa. Wywiedzieli się z pewnością że to on pisuje do *Oređownika* o stowarzyszeniach i ugłaskali go sobie. Niech tylko *Goniec* nas... czy to było blisko,

Jeszcze nie koniec litanii, ale na zakończenie dodamy i to, że w naszej praktyce zaszedł i taki wypadek, iż jeden i ten sam „dzielny wiarus“ obsługiwał równocześnie i naszą redakcyą i tajną policyą; myśmy o tem bardzo dobrze wiedzeli. (?)

Ze *Dziennik Poz.* i *Goniec* takiego, co my, doświadczenia nie mają, to rzecz naturalna. Oba te pisma, powiedzmy obrazowo, mają tylko z „baronami“ do czynienia; *Oreodownik* styka się z średnią warstwą, z „hołotą“, jak się to np. *Goniec* niedawno wyraził z okazji wyborów. Otóż między tą warstwą średnią znajdują się bystrzy ludzie, którzy — patrzą na takie rzeczy i *Oreodownikowi* referują. To jest znowu — nasza polityczna policya.

W Toruniu zaś, jeżeli była jaka intryga polityczna, która wywołała znane przemówienie cesarza, to dostarczyli jej odpowiedniego materiału sami Polacy, mianowicie luminarze partii dworskiej, donoszący Niemcom, że ruch ludowy polski jest objawem agitacyi socjalistycznej, co nawet niedawno *Kraj* powtórzył.

Ks. Łukasiewicz z Janowa Lubelskiego zamieścił w *Kraju* odpowiedź tym dziennikom rosyjskim, które »jako największą przeszkodę do *modus vivendi* uważają katolickie duchowieństwo«. Z doświadczenia wiemy, jak powszechnym jest u nas typ ludzi, którzy lubią pisać i jak to mówią, zabierać głos w każdej sprawie w imieniu pewnej klasy lub nawet całego społeczeństwa z ladajakiego powodu. W sprawie, w której napisał list ks. Łukasiewicz, nie warto było wcale przemawiać, bo jak dobrze mówi przysłowie rosyjskie »nie nadążysz z życzeniami na każde kichnięcie«. Ale ostatecznie chciał pofolgować sobie ks. Łukasiewicz — niech pisze, tylko niech nie występuje w imieniu całego duchowieństwa.

„Jesteśmy Polakami, katolikami, kapłanami. Te trzy nazwy, zdaje się, jasno określają nasze zadania. Jako Polacy staramy się o zachowanie swojej narodowości w sobie i swoich współbraciach. Nie popełniamy chyba przez to zbrodni, nie wyrządzamy przez to krzywdy pobratymczemu narodowi ruskiemu, z którym Opatrzność i historia przeznaczyły nam żyć wspólnie (?) Jako katolicy staramy się o zachowanie czystości wiary i obyczajów w sercach tych, którzy te dary otrzymali od swoich praćców. Targnięcie się na sumienie człowieka jest w naszym przekonaniu zbrodnią, którą Najwyższy osądzi. Nie chcemy nowych dla kościoła naszego nabytków przez gwałt i nienawiść. A jako kapłani katolicy? O, tu wiele dałoby się powiedzieć. Myśmy pasterzami dusz i przewodnikami sumień tego narodu, który z Bożej woli samodzielności utracił. Chcemy szczęścia dla tego narodu, ale o szczęściu wszystkich poddanych mówiono nam z wysokości Tronu. W myśl tych słów Najmiłościwszych, uczymy ludu karności i posłuszeństwa władzom i często powtarzamy: „oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu“. Minęły czasy mrzonek i my, kapłani, narówni z ludźmi politycznymi, rozumiemy, że dla wielu względów samodzielne istnienie narodu polskiego jest niemożliwością“.

Obok zdań rozumnych i wypowiedzianych z godnością, dziwnie wyglądają inne, w których ks. Łukasiewicz przesądza bluźnierczo zamiary Opatrzności i jak gdyby był zafanym jej powiernikiem oświadcza, że przeznaczyla nam żyć wspólnie z narodem rosyjskim.

Może ks. Łukasiewicz »z ludźmi politycznymi«, w rodzaju eks-dyrektora teatru Koźmiana, być przekonany, że »samodzielne istnienie narodu polskiego jest niemożliwością«, ale poniżej godność kapłańską, kłamiąc, że niedorzeczny ten pogląd podziela całe duchowieństwo lub chociażby tylko większość jego. Sądzymy zresztą, że i ks. Łukasiewicz jest innego zdania, ale myśli że mądrość polityczna nakazuje dziś zaznaczać publicznie, że naród nasz wyrzekł się »mrzonek samodzielności«.

— Pojedynczymi artykułami dzienników rosyjskich w sprawie polskiej wienkel się bardzo *Hatyeczani*. Nie

nieważ ujadanie na Polaków nie jest teraz rządowi rosyjskiemu potrzebnem, dopływ rubli do kasy redakcyjnej może ustać, a szeszodroblności p. Apuchtina »z funduszów specjalnych okręgu naukowego« deficytu nie pokryje, tymbar-dziej że i stanowisko tego dobrodzieja jest podobno zachwianem. Napisał więc p. O. A. Markow list ostrzegający ławowiernych braci, który zamieścił w *Dniewniku warszawskim* podpisawszy się pseudonimem O. A. Prawdin. Następnie sam pojechał do Petersburga, żeby zbadać jak rzeczy stoją i przekonawsz się widocznie, że można jeszcze przeciwdziałać niebezpieczeństwu, odezwał się w swoim organie płacziwym »głosem poniżonych i pokrzywdzonych«. Ale twardy w swoim polonofilstwie *po przykazu naczałstwa* p. Markgrafskij nie rozczulił się skargą na prasę rosyjską, jakoby:

„z niezwykłą żarliwością walezącą na korzyść pojednania narodu ruskiego z polskim i gotową do wszelkich ustępstw“.

P. Margrafskij zaznacza, że położenie ludu ruskiego w Galicyi mogło być by lepszem, gdyby inteligencya nie żarła się między sobą. Istnieje tam — powiada — aż pięć stronnictw, z których cztery nieprzyjzanie są usposobione względem Rosyi. »Chorobliwe marzenia« Polaków o niepodległości mają chociaż jakie takie uzasadnienie, ale marzenia o samodzielnem państwie rusko-ukraińskiem nazywa p. Markgrafskij »śmieszniemi i nikiemnemi«. Rozgniewawszy się na narodowców, szameruje dzielny pułkownik i p. Markowa, który w sprawie Rusi-Ukrainy nie zawinił, i daje mu naukę, że

„co we Lwowie nie da się z sobą pogodzić może być pogodzonem w Warszawie“.

My sądymy, że to, co może być pogodzonem w Warszawie, dałoby się pogodzić i we Lwowie przy odpowiednim poforsowaniu i, kto wie, czy nie zadługo za inicjatywą i przy pośrednictwie Markgrafskiego nie nastąpi zbratanie dusz pokrewnych świętojurców i stańczyków.

Gdyby nie obawa, że wyschnąć może ożywece źródło szeszodroblności rosyjskiej, p. Markow uspokoiłby się z pewnością, bo p. Markgrafskij zapewnia go uroczyscie

„Kiedy nastrój społeczeństwa polskiego jasno, stanowczo i wyraźnie okaże się w szeregu objawów dodatnich, kiedy fakty, dowodzące nieprzejednania większości inteligencji polskiej, przejdą do historii, na co, rozumie się, potrzeba nie mało czasu, wówczas dopiero będzie można mówić o ustępstwach i to nie o jakichkolwiek, nie o wszelkich, ale o tych tylko, któreby nie sprzeciwiały się ogólnemu programowi rządowemu i nie wytwarzały dla polskich poddanych cesarza rosyjskiego jakiegos stanowiska wyjątkowego, oddzielnego. Ustępstwa te mogłyby się zawierać w zniesieniu niektórych przepisów ograniczających, w istocie swej i teraz niezbyt doniosłych, a wydanych w rozmaitych czasach z konieczności“.

POLSKA NA OBCYZYŃNIE.

Antoni Berczowski. W ostatnich czasach, z powodu wniosku deputowanego francuskiego p. Dejean o amnestyę dla kilku wybitnych skazańców politycznych, odsiadujących dłuższą karę w Nowej Kaledonii — rozpięły się dzienaiki francuskie i o B e r e z o w s k i m, który należy do kategorii najstarszych skazańców.

Że w Petersburgu amnestyja dla Berczowskiego sprawiłaby niemiłe wrażenie, o tem zapewniać nie potrzeba, dla tego też rządowa Francya za pomocą prasy stara się uspokoić opinię publiczną już to przedstawiając Berczowskiego za waryata, dla którego uwolnienie nie miałoby żadnego znaczenia, jużto przekręcając pobudki, które go skłoniły do zamachu na Aleksandra II w Paryżu. W tym celu *Figaro* p. Berczowskiemu rozmowę swojego reportera z jednym z wyż-

szych urzędników w ministerstwie kolonii, którą tutaj w wyjątku przytaczam:

Urzędnik. Byłem młodym, zapalonym wielbicielem narodu polskiego, uważałem Berezowskiego jako bohatera i męczennika idei. Obecnie po przejrzeniu aktów zmieniłem zdanie. Berezowski był wtenczas (w r. 1867 r.) zatrudniony w fabryce Coila i liczył 19 lat. Zakochał się w córce, swego dyrektora i prosił o jej rękę. Panna odpłacała mu wzajemnością, lecz ojciec stanowczo oparł się temu związkowi. Berezowski z rozpaczny po wątkowo chciał się otruć, następnie zaczął myśleć o czynie, któryby jego imię roznieśli daleko i utrwalił w historii. Raz w przystępie szału rzekł do swoich kolegów: »Umre, ale śmierć za śmierć — pomyślałem o czemś takim, że długo mnie wszyscy będą wspominali« itd.

Otóż rozmowa ta, przytoczona przez niektóre pisma polskie, z gruntu jest fałszywą i tendencyjną. Sięgając do współczesnych sprawozdań z procesu Berezowskiego, dowiadujemy się rzeczy wprost przeciwnych temu, co podaje *Figaro*.

Oskarżony o zamach skrytobójczego morderstwa, którego się dopuścił w dniu 6 czerwca r. 1867, na osobie cesarza rosyjskiego, Berezowski z całą otwartością wyznaje, że miał tylko na myśli swoją ojczyznę, którą chciał pomścić, mordując cara. Z zamiarów swoich nikomu się nie zwierzył.

Mówiąc o zamachu oświadcza w najgwałtowniejszych wyrazach, że dopełnił tylko swojej powinności i spełnił przysięgę, którą sam przed sobą wykonał mając lat 16 (a więc w 1863 r.).

Prezes trybunału p. Berthelin zapytuje oskarżonego: jakim prawem targnął się na życie cara?

Berezowski (głosem wzruszonym i ze łzami w oczach) odpowiada: »Miałem prawo zgładzić tego, który mi zgładził ojczyznę, mordował kobiety i dzieci i jednym pociągnięciem pióra sprowadził tyle nieszczęść i tyle złego zrządził, że nawet tego wypowiedzieć nie umiem. Czyż nie miałem prawa zabić go«.

Na uwagę prezesa, że Aleksander II. jest »jego monarchą«, że zresztą jest jego bliźnim, odrzekł Berezowski: »Zostawiając cara przy życiu, byłbym mu zgotował piekło po śmierci. Gdy tymczasem gdyby był zginął z mojej ręki, byłby odpokutował grzechy i winy swoje, byłby na tamtym świecie szczęśliwym«. W Aleksandrze oskarżony nie uznaje swojego monarchy ani bliźniego: dla człowieka tak okrutnego nie zna nazwy.

Że nie egoistyczne pobudki kierowały Berezowskim, o tem świadczą zeznania Ruszczewskiego, majora jazdy wołyńskiej z 1863 r., w którego oddziale Berezowski służył i Frankowskiego, oficera tejsze jazdy. Obaj napróżno starali się go w Paryżu rozerwać, »myślał tylko o Polsce i jej nieszczęściach, pragnął tylko nauki i powrotu do ojczyzny«. Prokurator nazwał oskarżonego »nikczemnym zbrodniarzem« i domagał się za rozmyślnie i dobrowolne zabójstwo, nie-
uskutecznione jedynie z powodów niezawisłych od oskarżonego — kodeksom francuskim naznaczonej kary śmierci, lecz ława przysięgłych 11 głosami przeciw jednemu przyjęła okoliczności łagodzące, skazując Berezowskiego na dożywotnie więzienie. Przyczyniła się ku temu nie mało obrona głośnego adwokata, Emanuela Arago*), który w przejmujących wyrazach przedstawił dzieje nieszczęść Polski i dokonanych na niej gwałtów, potępionych głosem całego ucivilizowanego świata, wszystkich ludzi szlachetnych, począwszy od pierwszego rozbioru państwa polskiego aż do zbiorowych noż, któremi podczas ostatniego powstania trzy mocarstwa domagały się sprawiedliwego uwzględnienia praw Polski. Na-

stępnie podał do wiadomości sędziów szereg okrucieństw, dokonanych przez Murawiewa, a z góry potwierdzonych przez Aleksandra II. »Berezowski, popełniając zamach — mówił Arago — miał się za obrońcę zasad: sprawiedliwości, religii, ojczyzny, działał jako fanatyk religijny«.

Godnym przypomnienia jest jeszcze fakt, że kiedy oskarżony po zamachu odstawiony został do prefektury policyi, wprzód jeszcze zanim sędzia śledczy się zjawił, urzędnik rosyjski hr. Szuwałow. ówczesny szef żandarmów uzyskał wstęp do Berezowskiego i badał go po rosyjsku. Arago żądał, aby czyn ten, ubliżający powadze sądownictwa francuskiego, był zanotowany w protokóle. Z oburzeniem odtrącił również insynuację, dążącą do obalania sądu, gdy ze źródła moskiewskiego przysłało depezę bezimienną, że Berezowski ma w Paryżu krewnego, z którym działał zapewne w zмовie. Okazało się, co wyświecił Arago, że oskarżony miał wuja Hryniewieckiego, lecz ten umarł kilka lat przed zamachem. W tym też czasie Juliusz Favre wyrzucił w Izbie rządowej dobre przyjęcie, zgotowane w Paryżu okrutnemu i despotycznemu carowi...

Z tego, cośmy przytoczyli, widać, że w akcie oskarżenia ani w całym procesie nie ma wątku z którego możnaby usnuć romantyczną historię, zakończoną zamachem dla rozgłosu. Jest to owoc bujnej fantazy *Figara*, karygodny czyn tendencyjnego bałamucenia opinii publicznej. Orion.

Z OBCEGO ŚWIATA.

Skandaliczny proces. Podczas pobytu we Wrocławiu car Mikołaj II wzniósł toast, który, według pierwotnego telegramu agencji Wolffa, zakończył słowami: »żywię te same tradycyjne uczucia, co mój ojciec«. W następnych sprawozdaniach zaznaczono, że car powiedział: »te same uczucia, co Wasza Cesarska Mość«. Z powodu tych sprostowań zjawiły się w kilku pismach artykuły, w których mówiono o »rządzie pobocznym« i wpływach angielskich na politykę Niemiec. Urząd spraw zagranicznych, który był tymi artykułami bezpośrednio dotknięty, wytoczył proces kilku redaktorom i dziennikarzom. W toku sprawy okazało się, że jeden z oskarżonych, dziennikarz baron Lützow, b. oficer, był szpiegiem, czyli jak Niemcy grzecznie mówią »mężem zaufania« policyi i działał z polecenia komiaarza politycznej policyi tajnej Tauscha. Sekretarz stanu, baron Marschall, przeciw któremu artykuły inkryminowane były wymierzone, przypomniał sobie dawne crasy, kiedy był prokuratorem i, chociaż występował jako świadek, tak zrećnie zaczął badać oskarżonych, że Lützow wyznał w końcu wszystko, a Tausch popłatał się w zeznaniach i z rozkazu sądu uwięziono go natychmiast za krzywoprzysięstwo. Proces rzucił sporo światła na intrygi policyi tajnej. P. Marschall wyznał, że do policyi tajnej »nie ma za grosz zaufania« i od pewnego czasu nie używa jej wcale, gdyż kilkakrotnie go oszukiwano. W r. 1891 wykryto, że artykuły w *Saale Zeitung* przeciw cesarzowi, Capriviemu i Marschallowi. pisał urzędnik tajnej policyi. Wreszcie przebrała się miarka i p. Marschall, widząc, że policya systematycznie oczernia ministerium spraw zewnętrznych, postanowił wytoczyć proces i oddać sprawę pod sąd opinii publicznej, żeby tę niktzemną robotę napiętnowała.

Zeznania świadków wykryły mnóstwo ciekawych rzeczy. »Mężowie zaufania« policyi grają ważne role w prasie niemieckiej, jeden z nich, Staerck był »sprawozdawcą« dyplomatycznym *Berliner Tageblattu*. Dymisy ministrowi Köllera (spraw wewnętrznych) i Bronsarta (wojny) niewątpliwie wskutek intryg policyi, a prawdy miasa Capriviego. Naturalne Tausch

*) Zmarł w Paryżu w końcu listopada b. r. (*Przyp. Red.*)

w czyimś interesie. Mocno skompromitowanym jest ambasador niemiecki w Wiedniu, hr. Filip Eulenburg, osobisty przyjaciel cesarza. Miał on stosunki z Tauschem i wyrabiał dla niego orderzy. Tausch był wielbicielem starego Bismarka i przypuszczają, że działał też w interesie jego syna, Herberta. Tajna policja cieszyła się wielkimi względami Bismarka; kiedy był kanclerzem, posługiwał się nią w różnych intrygach. Twierdzą niektórzy, że i teraz wykryty będzie współdziałł w intrydze koteryi bismarkowskiej. Uwięziony Tausch oświadczył, że wszystko powie, ale zapewne rząd nie zechce ujawniać wielu szczegółów, kompromitujących najwyższe sfery i osobę cesarza, który dawał wiarę wszelkim plotkom i był zabawką w rękę zręcznych intrygantów.

Proces odsłonił nieco tajemnice sfer dworskich w Berlinie, żywo przypominające politykę buduarową XVIII wieku. Kompromituje on ostatecznie politykę niemiecką i osobę Wilhelma II. Jak zaznaczają słusznie dzienniki angielskie nie podobnego gdzieindziej, nawet w Rosyi zdarzyłoby się nie mogło. Proces panamski wykazał sprzedajność mężów stanu francuskich, berliński wykazuje rzecz gorszą — dekadentyzm polityczny w najmniejszym gatunku, przypominający istotnie czasy Kaliguli, ale bez tej grozy tragicznej, którą im nadawało szalone okrucieństwo rzymskiego pierwowzoru cesarza Wilhelma II.

Pośrednio proces ten i nas obchodzi. *Kleines Journal*, dziennik niezbyt poważny, ale, jak mówią, przez Wilhelma II czytany, zamieścił artykuł, dowodzący, że Lützow w r. 1894 mieszkał w Toruniu przed wygłoszeniem pamiętnej mowy i starał się wkroczyć do kół polskich. Wilhelm II, który podczas swej podróży dosyć jeszcze przychylnie był względem Polaków usposobiony, po przyjeździe do Torunia wygłosił mowę, która wszystkich wówczas zadziwiła. Wyjątek z tej mowy, nas dotyczący, przytaczamy niżej. Zwracając się do Polaków cesarz powiedział:

»Niestety doszło mych uszu, że polscy współmieszkańcy *nie zachowują się tak*, jakby należało się spodziewać i życzyć.

Niechaj wiedzą, że *tylko wtenczas* mogą liczyć na moją łaskę i poparcie, jeżeli bezwarunkowo będą uważali się za poddanych pruskich. — Spodziewam się, że toruńscy Polacy będą zachowywali się stosownie do tego, co powiedziałem w Królewcu.

Na zakończenie dodał, że Polacy powinni strzedz się sojalizmu bo tracą jego łaskę.

Być może, że Tausch i Lützow donosili fałszywie o usposobieniu Polaków, ale, jak twierdzi *Ogólnik* już wówczas zaznaczano, »jakoby pewne osobistości polskie przyczyniły się do owego wystąpienia cesarza« i sądzi, że »jak po nici do kłębka mogliśmy dojść do wyświecenia jaki miał stosunek Lützow w Toruniu z tymi Polakami, którzy tam publicznie głosili, że ruch ludowy to tyle — co socyjnalna demokracja«.

KRONIKA.

— Ze składek, urządzonych pod hasłem jubileuszu Asnyka, zebrano na budowę szkoły polskiej w Biały około 7000 złr.

— Obchód na cześć Sienkiewicza odbył się 12 b. m. w Wiedniu staraniem miejscowego Towarzystwa Literarische Vereinigung. Dzięki niedośćwu inicjatorów zeszło się zaledwie czterdzieści kilka osób, przeważnie żydów niemieckich. Z Polaków przybyło — czterech studentów akademii handlowej. Przed takimi słuchaczami wygłosił o Sienkiewiczu

rozprawę dr Landau. Odczytano w końcu telegram od „Warschauer Tagblatt Slo wo“.

— We Lwowie odbył się zjazd ruskich delegatów dekanalnych z dycezyji lwowskiej, stanisławowskiej, i przemyskiej pod przewodnictwem gr. kat. metropolity, kardynała Sembratowicza. Ks. Baczynski, z ramienia ks. kardynała przedłożył rezolucję, oświadczaającą się za zorganizowaniem ruskiego kierunku w katolickie stowarzyszenie polityczne (jest to nowe Towarzystwo, założone przez pp. Barwińskiego i Wachnianina) Zebranie atoli uchwaliło rezolucję, wręcz odmienną i nie uznało potrzeby takiego stowarzyszenia. W zjeździe brało udział 150 delegatów.

— Nader uroczyste obchodzono w Krakowie jubileusz *Adama Asnyka* Ze wszystkich stron Polski nadeszło multo w listow i telegramów z życzeniami. Do powszechnego hołdu dla poety przyłączyła się między innymi reprezentacja miasta Lwowa i marszałek krajowy Stanisław hr. Badeni. Tem bardziej rażąco odbijała nieobecność na obchodzie krakowskiej Rady miejskiej, której Asnyk jest członkiem. Zrozumiałem, łatwem do przeboleńia było usunięcie się od wszelkiego współdziałania przywódców stronnictwa klerikalno-konserwatywnego. Mniej zrozumiałem natomiast i wprost niewytłómaczonem, że do nieobecnych na uroczystości należał „Sokół“, zawdzięczający jubilatowi pocie hymn, nad wszelki wyraz wspaniały.

— „Praga czeška posiada u siebie największy skarb literatury ludzkiej, — powiedział niedawno jeden z postów w parlamencie wiedeńskim, — klejnot, którego wartość przewyższa wszystko, cokolwiek ludzkość posiada.“ Jestto rękopis *Kopernika*: „De revolutionibus orbium coelestium,“ będący obecnie własnością rodziny hr. Nostitzów. W roku 1832, przy robieniu inwentarza tego majątku, oceniono wspomniany rękopis na ... 30 centów w. a.!

— *Gazecie grudziądzkiej* wytoczono proces o podburzanie klas ludności przeciw sobie, w danym wypadku Polaków przeciw Niemcom,

— Sąd okręgowy w Mińsku skazał ks. Jurgiewicza na pozbawienie praw i godności duchownej i zesłanie na Sybir za sfałszowanie (?) metryki. Chodziło o zapisanie prawosławnej dziewczyny, jako katolickiej i zmniejszenie lat chłopcu w celu ułatwienia mu wstępu do gimnazjum.

— Studenci w Moskwie chcieli w d. 2 grudnia odprawić nabożeństwo żałobne (*panichida*) na mogiłach ofiar katastrofy na Polu Chodyńskim. Policja i żandarmi sprzeciwili się temu. 1300 studentów i osób cywilnych aresztowano, ale lud moskiewski wziął w danym wypadku ich stronę. Przed pałacem W. ks. Sergiusza zebrał się tłum, który zaczął wyrzucać kamienie z bruku i wybijać szyby w oknach. Z powodu wydalenia 28 studentów moskiewskich były rozruchy na uniwersytecie w Petersburgu, a podobno także w Kijowie i Charkowie.

— W Beneszowie na Śląsku (powiat raciborski) policja nie pozwoiliła na zebraniu publicznem katolików Morawian przemawiać po czesku.

— Policja lwowska aresztowała kilku akademików idących tłumnie wieczorem „gęsiego“ i aresztowanych pobita i pokaleczyła. Rada miejska i ciało profesorskie jednomyślnie przeciw temu gwałtowi zaprotestowały, a profesorowie Piętak i Piniński interpelowali w tej sprawie rząd w Radzie państwa. Namiestnik kazał uwięzić głównych winowajców i przyrzekł deputacyi studentów, że policjanci surowo będą ukarani.



Od Readkcyi.

Zadania i dążenia naszego pisma są dla wszystkich czytelników jasne i wyraźne. Zaznaczymy więc tylko, że w roku przyszłym 1897. „PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI“ wychodzić będzie jak dotąd regularnie i że ani sposób prowadzenia i objętość pisma, ani cena prenumeracyjna nie będą zmienione.

Sprawy śląskie. — Z całej Polski, nap. J. L. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa). — Z zaboru pruskiego (Poznań) — Z Galicji. — Z kresów (Cieszyn, Mitawa). — Z wychodźstwa i kolonij (Deir-it). — Przegląd prasy i literatury. — Z obcego świata — Kronika.